4225 D
VII-8-54

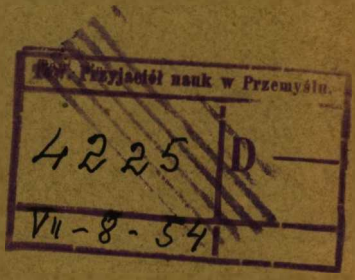
Bibl. Przyjaciół nauk w Przemyślu.
4225 D
VII-8-54

2087

DWA SZKICE

W. ODROWĄŻ

A. 6695

DWA SZKICE

NIE ZGINIE — NAD SIŁY

BIBLIOTEKA
DRZEDN. TOW. WZAJ. UB. W KRAKOWIE
SEKCYA IV.

Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie
1906.

B-59001

BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

1000174459

Liter 13a

K.1160/56/1091

Z drukarni »Czasu« w Krakowie, pod zarządem A. Świerzyńskiego.

NIE ZGINIE

I.

Ojciec Adama Piaseckiego był niższym urzędnikiem w jednem z wielkich biur ministeryalnych w Petersburgu. Urodzony w tem mieście, w ciągu długiego życia ani razu nie opuszczał na czas dłuższy murów stolicy, podobnie jak i jego żona, od dziecka wychowana nad Newą. Była to rodzina jeszcze polska, ale zżyta zupełnie z rosyjskiem otoczeniem i słabo odczuwająca samowiedzę narodową. Jedyną ich lekturą polską była książka do nabożeństwa, język ojczysty w ich ustach kaleczyły rusycyzmy, myśleli po polsku, ale śnili już często po rosyjsku. Rodzin podobnych wśród mniej inteligentnych średnich sfer urzędniczych nie brakuje na obszarach Rosyi.

Adam wychowany w takiem otoczeniu, nie mógł posiadać rozwiniętego poczucia patryotyzmu. Uczęszczał do gimnazyum, gdzie na czterdziestu uczniów w klasie on jeden tylko był Polakiem; pomiędzy znajomymi rówieśnikami liczył zaledwie dwóch rodaków. Chłopiec był pilny, dosyć zdolny, uczył się dobrze, od czwartej klasy udzielał już korepetycyi, pomagając w ten sposób rodzicom w zaspokajaniu koniecznych potrzeb. Budżet rodziny był bardzo skromny; pobierana przez ojca pensya czterdziestu rubli miesięcznie musiała starczyć na wszystko, co przy wygórowanej cenie życia w stolicy zmuszało Piaseckich do wysiłków oszczędności. Mieszkanko położone w odległej dzielnicy miasta, składa-

jące się z pokoiku i kuchenki, zastawione było jedynie najniezbędniejszymi sprzętami. W tych więc warunkach pomoc chłopca okazała się zbawienną. Adam nie był jedynakiem, posiadał młodszą od siebie o lat parę siostrzyczkę, Helenkę, blade, skrofuliczne dziewczę, więdnące zwolna pod wpływem zabójczego klimatu Petersburga.

Czas płynął wśród normalnych okoliczności, bez niezwykłych zdarzeń. Ojciec rodziny, nie posiadając kwalifikacyi ani protekcyi, skazanym był na dozgonne kancelistostwo i nie miał nawet prawa marzyć o awansie; zaledwie po długich latach doczekał się podwyższenia pensyi o pięć rubli miesięcznie. Adam posuwał się każdego roku o jedną klasę wyżej, aż doszedł wreszcie do ostatniej; rozwijał się widocznie szybko, rozmowę jego cechowały myśl i rozsądek, ujawniał już poważny pogląd na życie, a postępowanie jego wolne było od drobnych nawet usterek, właściwych młodocianemu wiekowi. Tylko jedna okoliczność powinna była zastanawiać baczniejszego spostrzegacza, gdyby taki znalazł się był w otoczeniu. Pozostając bezustannie w towarzystwie młodzieży rosyjskiej, coraz bardziej zatracał w sobie poczucie narodowe. Powoli przyszło do tego, że z rodzicami najczęściej prowadził rozmowę po rosyjsku, czyniąc to prawie bezwiednie, po prostu z tego jedynie powodu, że język ten stał się dla niego codziennym i łatwiej mu przychodziło wyrażać w nim swe myśli. Powyższy fakt nie raził zupełnie rodziców i przechodził niepostrzeżenie, jako zjawisko całkiem naturalne.

Ukończenie gimnazyum, otrzymanie świadectwa dojrzałości i postąpienie do wyższego zakładu naukowego było chwilą epokową w życiu dorastającego młodzieńca. Wybrał fakultet prawny, powodując się względami praktycznymi, a nie zamiłowaniem dla przyszłej pracy. W sferze, do której należała jego rodzina, ka-

ryera urzędnicza przedstawiała się najbardziej pociągająco wskutek niedokładności pojęć o innych działach pracy inteligentnej, dyplom zaś uniwersytecki w biurokracyi stanowi zawsze potężną siłę. Odczuł to na sobie samym ojciec Adama, nie posiadający żadnej kwalifikacyi naukowej i skazany dlatego wiecznie na zajmowanie nizkiego stanowiska.

Po wzorowem ukończeniu szkół średnich, młody akademik na pierwszym kursie otrzymał już stypendyum, a ponieważ i korepetycye przynosiły mu dochód, to razem wziąwszy, położenie jego materyalne nie o wiele ustępowało ojcowskiemu. Na pochwałę Adama przytoczyć należy, że lwia część jego funduszów wpływała do wspólnej kasy rodziny, pozwalając na powiększenie koniecznych pozycyi rozchodowych budżetu domowego.

Studya uniwersyteckie, oprócz bogacenia wiedzy, wpływały w inny jeszcze sposób na kierunek rozwoju umysłowego młodego Piaseckiego. Uniwersytet petersburski w tych czasach nosił charakter kosmopolityczny, zwłaszcza w przeciwstawieniu do moskiewskiego, który był przedstawicielem ciasnego patryotyzmu narodowego. Kierunki te ujawniały się przedewszystkiem w wykładach profesorów, dla których fakultet prawny zwłaszcza był najwdzięczniejszem polem do tego celu; następnie w przekonaniach i wyznaniu wiary młodzieży, która w Petersburgu cywilizacyę zachodniej Europy stawiała sobie za wzór do naśladowania, podczas gdy moskiewska majaczyła o stworzeniu nowej, własnej. Pod wpływem powyższego prądu umysł Adama rozpoczął proces emancypacyjny tak w kierunku religijnym, jakoteż w kierunku narodowym. Wskutek wychowania i warunków otoczenia poczucie patryotyczne, wewnętrzne zadowolenie z przynależności do swojego kraju obcemi były dotąd dla niego pojęciami. Nie można twierdzić, aby nienawidził Polaków lub wstydził się swojego pochodzenia,

a poczuwał się natomiast do narodowości rosyjskiej; nie, w jego umyśle kwestye tego rodzaju nie istniały zupełnie. Na grunt tak przygotowany padło z wszechnicy petersburskiej ziarno kosmopolityzmu, rodząc plon obfity. Tutaj o ojczyźnie jego nie wspominano prawie zupełnie, na każdym kroku napotykał ostrą krytykę rosyjskich urządzeń państwowych i społecznych, a w zamian za to czerpał wiedzę z prac ludzi nauki różnych narodowości i z katedry profesorskiej słyszał często słowa o mającej powstać jednej, wszechludzkiej rodzinie, na ołtarzu której poświęcą swoje interesy pojedyncze szczepy i narody. Do ostatecznej krystalizacyi pojęć dopomagała odpowiednia lektura; Adam pod wpływem tego wszystkiego uważał się obecnie w dobrej wierze nie za renegata jakiegoś, lecz tylko za człowieka przyszłości.

Druga połowa przeobrażenia dotyczyła przekonań religijnych. Rodzice Adama byli to ludzie wierzący i pobożni, ale modlitwa ich była cichą, jak całe zresztą życie; praktyki religijne odbywali nie w katedrze świętej Katarzyny, lecz w skromnym polskim kościółku świętego Stanisława. Dziecko, spędzające większą część dnia po za domem, w otoczeniu kolegów i nauczycieli, wyznających wiarę obcą, pozbawione było wpływów silniejszych w tej mierze. Z następstwem lat syn stawał się podporą materyalną rodziców, a wobec ich nizkiego horyzontu umysłowego szybko przerastał wykształceniem swoich życiodawców, słowem wyrastał w oczach ich na powagę, której nie śmieli narzucać swoich wierzeń religijnych. W chwili wstąpienia na uniwersytet Adam nie należał do młodzieży, odrzucającej niebacznie religię jako balast niepotrzebny, ale gorącą wiarę zastępowało u niego mechaniczne wypełnianie praktyk; obca wszechnica dokonała pracy zniszczenia. Prawosławie, jako religia, będąca służebnicą rządu, nie może za-

dawalniać jednostek, widzących jasno rażące wady w samym rządzie. Wśród kolegów jego, studentów, ruch antypaństwowy szedł ręka w rękę z ruchem antyreligijnym; sfery kierujące nowymi prądami sympatyzowały z tymi objawami. Była tam w tych poglądach mieszanina zasad starych francuskich encyklopedystów, nowej niemieckiej szkoły materyalistów, śmiałe i nieoględne wnioski z prac współczesnych uczonych angielskich, wszystko zaszczepiane chaotycznie na obcej tym prądom dotąd ziemi rosyjskiej. Umysł Adama chwytał chciwie świeże dla siebie hasła i przyswajał sobie teorye, które nie pozostawały w związku z tradycyą jego narodu, tej bowiem nie posiadał zupełnie. Rezultat nie trudny był do odgadnięcia; obcy dotąd uczuciom miłości ojczyzny, obecnie wyemancypował się jeszcze z wiary ojców, uważając jedno i drugie za ofiary, złożone w imię postępu na ołtarzu dobra ludzkości.

Spowodowana nienaturalnymi wpływami ewolucya w społecznych i religijnych poglądach, nie zdołała zmienić tła charakteru Adama; pozostał nadal wzorowym młodzieńcem i synem. Zdobyty grosz ciężką pracą najchętniej dzielił z rodziną, a często niejeden wydatek ponosił dla niej bezimiennie. Według własnych, świeżo urobionych pojęć, pozostawał wyznawcą i apostołem moralności niezależnej, a na jednym drażliwym dla siebie punkcie ujawniał wysoko rozwinięte poczucie etyczne. Były to czasy gorące dla kształcącej się młodzieży w wyższych zakładach naukowych Petersburga, czasy publicznego spoliczkowania w głównej auli uniwersytetu ministra Saburowa podczas aktu uroczystego, szeregu zamachów na dygnitarzy państwa, zakończonych zabójstwem samego panującego. Adam Piasecki nie był zwolennikiem rewolucyi; sam wyznawca zasad swobody, z całą śmiałością usuwał się od losowania wykonawców, powodowany wstrętem do czynów gwałtu i przemocy.

Podczas trzeciego roku studyów uniwersyteckich młodego człowieka, ciężkie zmartwienie nawiedziło całą rodzinę; jedyna siostra Adama, młodsza od niego o trzy lata, wątła i słabowita od dziecka, poczęła obecnie na zdrowiu szybko podupadać. Helenka w tym czasie rozpoczęła ośmnasty rok życia; średniego wzrostu, jasna blondyna, na pierwszy już rzut oka sprawiała wrażenie istoty chorej. Cera blada, twarz jakby nalana, duże niebieskie oczy, pozbawione ognia młodości, powolność ruchów, oblicze z wyrazem cierpienia, wszystko wskazywało na organizm nurtowany ciężką chorobą. Nie była ładną, a jednak bardzo sympatyczną; łagodna i dobra, znosiła z rezygnacyą i cierpliwością los, jaki bezwinnie przypadł jej w udziale. Nietylko nie skarżyła się nigdy, ale wprost sprawiało jej przykrość, gdy ją pytano o stan zdrowia; w tajnikach myśli zazdrościła innym pełni sił żywotnych, więc bolało ją, gdy poruszano najdrażliwszą w niej strunę. Wzywani kilkakrotnie lekarze, o ile ich można było wzywać przy szczupłych dochodach domowych, orzekali zgodnie, że organizm skrofuliczny i anemiczny chwieje się i ugina pod wpływem zabójczego klimatu Petersburga; jakby na ironię radzili zmianę miejsca pobytu. Piaseccy poza murami stolicy nie mieli znajomych, a o istnieniu krewnych na prowincyi, do których możnaby wysłać córkę, nie wiedzieli zupełnie; o zmianie pobytu dla całej rodziny nie można nawet było pomyśleć, podobnie jak o umieszczeniu Helenki za pieniądze w innej zdrowszej miejscowości. Dziewczyna za mało się kształciła i umiała, aby starać się o miejsce nauczycielki po za Petersburgiem, była nadzwyczaj osłabioną, aby mogła przyjąć obowiązki bony lub nawet panny służącej. Przymusowa bezczynność w domu rodzicielskim, spowodowana brakiem sił, najbardziej ją dręczyła; nadzwyczaj pracowita z usposobienia, z bolem serca patrzyła na zabiegi matki około gospodarstwa do-

mowego, na skromne fundusze rodziny i czynione wysiłki, by ją ratować.

Tymczasem niszcząca choroba czyniła coraz groźniejsze spustoszenia w zrujnowanym i tak już organizmie; aż wreszcie Helenka, zmuszoną została położyć się do łóżka, aby więcej już z niego nie powstać. Sprowadzony przez Adama doktor, jedna z powag lekarskich Petersburga, skonstatował szybko rozwijającą się gruźlicę płuc w tak daleko posuniętem stadyum, że wiedza i pomoc ludzka były już bezsilne. Potentat, profesor akademii medycznej, przyjechał karetą, przy której każdy koń wart był parę tysięcy rubli; ujrzawszy położenie rodziny, skromne mieszkanie, beznadziejny stan chorej, nie przyjął z rąk biednego studenta dziesięciorublówki, którą chciano wynagrodzić go za trud wizyty. Nieuleczalny stan chorej nie był odtąd tajemnicą dla otoczenia, ostatnie orzeczenie lekarskie otworzyło oczy na szybko zbliżającą się katastrofę. Otoczono nieszczęśliwą zdwojoną opieką, starano się odgadywać jej myśli, osładzać i uprzyjemniać ostatnie chwile pobytu pomiędzy swoimi. Z trudnością wysilała się matka, aby chorej nie okazywać twarzy, napiętnowanej cierpieniem, z boleścią zdobywała się na kłamany uśmiech, roniąc na uboczu łzy powstrzymywane. Ojciec nie umiał kryć się z bolem, unikał więc wzroku córki troskliwie, bojąc się, by z oczu jego nie wyczytała błysków rozpaczy. Adam, dotąd w stosunkach z rodziną zazwyczaj bardzo sztywny i chłodny, wobec zbliżającej się katastrofy odkrył nieoczekiwane w nim skarby uczucia. W chwilach, które mylnie uważał za ostatnie, całe noce przepędzał bezsennie przy łożu chorej; zazwyczaj skrupulatny w wypełnianiu obowiązków nieledwie do przesady, w tym czasie zaniedbywał się, aby nie odstępować siostry; oszczędny dotąd, obecnie nie liczył się z ostatnim rublem, jeżeli chodziło o wydanie go chociażby na za-

spokojenie kaprysu Helenki. Nieszczęśliwa zrozumiała znaczenie czynionych około niej zabiegów, które wzmogły się zwłaszcza po wizycie sławnego doktora; powodowana jednak wrodzoną delikatnością uczucia, nie dawała poznać rodzinie, że zna i rozumie swój stan; ograniczyła się tylko do kilkakrotnie powtarzanej prośby, aby zmniejszono łożone na nią wydatki. Równocześnie jednak czuła się coraz słabszą i na równi z otoczeniem wiedziała o zbliżającym się końcu. Trawiąca gorączka, nie odbierając przytomności, powodowała jedynie szybszy obieg myśli u chorej.

— O czem ty dumasz Helenko — pytali nieraz obecni, patrząc na skupiony wyraz jej twarzy.

— O niczem — odpowiadała kłamiąc. Myślała, że żal jej było bardzo życia, które wbrew woli musiała tak wcześnie opuścić.

Nadeszła nareszcie godzina, zrozumiała dla niej zupełnie, ta chwila życia, której w oczekiwaniu obawiała się tak strasznie, która jednak za zbliżeniem się traciła całą swą grozę. Bole fizyczne ustąpiły, a jednocześnie powoli opanowywał konającą dziwny, nieznany dotąd spokój, błogość nieledwie. Ledwo dosłyszalnym głosem pożegnała skupioną około siebie oniemiałą rodzinę i usnęła spokojnie, cicho, na wieki.

Katastrofa była oczekiwaną, a jednak nie straciła przez to grozy. Na dolę Adama przypadło nietylko zajęcie się pogrzebem, ale i dostarczenie koniecznego na to funduszu. Zmuszony był uciec się do kasy wsparcia studentów uniwersytetu, ponieważ skromne oszczędności własne wyczerpał doszczętnie podczas ostatniej choroby siostry. W jesienne, mgliste popołudnie orszak kilkunastu osób odprowadzał drewnianą białą trumnę, umieszczoną na skromnym karawanie, poprzedzonym katolickim krzyżem, przez nieskończenie długie ulice na Wyborską stronę. U wrót cmentarza ksiądz przyjął smutny

pochód wodą święconą; wykopany w bagnistej ziemi grób wypełniony był do połowy wodą brudnego koloru, w niej zanurzono z pluskiem ciało młodej dziewczyny.

II.

Starzy Piaseccy ponieśli w życiu nie jedną już ciężką stratę, to też ból ich po śmierci córki był głębokim, ale wyrażał się na zewnątrz w formie cichej i łagodnej; Adam odczuł stratę siostry z wstrząsającą siłą młodej natury, która po raz pierwszy spotyka się z nieszczęściem. Chociaż z biegiem lat cierpienie łagodniało, jednak przez długi czas nie opuszczał myśli jego obraz biednej, ukochanej siostrzyczki.

Nadszedł czwarty, ostatni rok kursu uniwersyteckiego, młody prawnik podwoił pracę, przygotowując się do ostatniego egzaminu, który wypadł lepiej niż zadawalniająco. Ze stopniem kandydata praw, który odpowiada stopniowi doktora po za granicami Rosyi, Adam Piasecki miał przed sobą otwartą drogę do możebnej karyery i posiadał do swobodnego wyboru trzy rodzaje przyszłej działalności. Pierwszym była adwokatura, która jednak nie nęciła go ku sobie z kilku względów; charakter jego i uzdolnienie, według własnego przeświadczenia, nie nadawały się do zawodu, który wymagał przedewszystkiem daru świetnej wymowy i specyalnej giętkości usposobienia, którychto zdolności nie odczuwał w sobie; przytem, po pięcioletniej praktyce w charakterze pomocnika adwokackiego, dla otwarcia własnej kancelaryi i przetrzymania ciężkich zazwyczaj pierwszych początków samodzielnej praktyki, należało posiadać pewien, chociaż niewielki kapitał, a on był biednym zupełnie. Drugim rodzajem karyery, do jakiej miał prawo na zasadzie uzyskanego dyplomu uniwersyteckiego, było wstąpienie do jednego z ministeryów lub innej central-

nej władzy stolicy; ten kierunek pracy zapewniał szybki bardzo awans, a nawet po pewnym czasie osiągnięcie posady dygnitarza w świecie biurokratycznym, ale zawarunkowanym był posiadaniem poważnych protekcyi, na których zbywało Adamowi najzupełniej. Bez stosunków, koniecznych w tym razie, nie zdołałby wcisnąć się na najskromniejszą nawet posadę w żadnej ze wzmiankowanych instytucyi, nie mógł więc marzyć o podobnej przyszłości. Po rozmyśle pozostawała więc bez wyboru jedyna, najskromniejsza, ale zupełnie pewna droga, karyera urzędniczo-sądowa, do której stopień uniwersytecki dawał mu niezaprzeczone prawo. To też wkrótce po opuszczeniu ławki akademickiej zapisał się jako kandydat na posadę przy petersburskiej izbie sądowej; kandydatura tego rodzaju dla ukończonych prawników w drugim a najdalej trzecim miesiącu jest już płatną i zapewnia względnie przejściową egzystencyę do chwili otrzymania posady etatowej, na którą zazwyczaj oczekiwać należy od sześciu miesięcy do jednego roku.

Trudno dla inteligentnej jednostki o więcej nieprzyjemną zamianę pracy, jak przejście od studyów uniwersyteckich do biurka urzędniczego; wszystko, co poprzednio rozjaśniało umysł, rozszerzało horyzonty ducha, ustępuje miejsca bezmyślnemu szablonowi, ogłupiającej rutynie biurokratyzmu. W Rosyi zwłaszcza, przy systemie nieznanej gdzieindziej centralizacyi władzy, biurowość jest bezduszną maszyną, funkcyonaryusze jej automatycznemi kółkami. Zanim młody pracownik dobije się wybitniejszej posady, przy której wiedza, zdobyta ciężkim wysiłkiem, znajduje już jakie takie zastosowanie, musi przez pewien przeciąg czasu zaprządz się do najzwyczajniejszej roboty kancelaryjnej, nie wymagającej w rzeczywistości wyższego uzdolnienia nad ukończenie dwu klas gimnazyalnych. Podobny los w zaraniu obranego zawodu spotkał Adama; zaliczony do oddziału sta-

tystycznego, miał za zwierzchnika człowieka bez uniwersyteckiego wykształcenia, który dowiedziawszy się z odnośnych dokumentów, że nowy jego podwładny jest Polakiem i katolikiem, na każdym kroku w sposób często przykry i nietaktowny okazywał świeżemu kandydatowi wyższość swoją w porządku hierarchicznym. Młody człowiek głowę miał przepełnioną tysiącami teoretycznych szczegółów, odnoszących się do historyi i filozofii prawa, nie miał jednak najmniejszego pojęcia o formach i formułkach manipulacyi kancelaryjnej, a nieobjaśniany przez niechętnego zwierzchnika, popełniał często drobne i bez rzeczywistego znaczenia omyłki i zaniedbania, które w następstwie stawały się dla niego powodem rozlicznych nieprzyjemności. Nie były to poważne udręczenia, nie mniej jednak denerwowały w wysokim stopniu Adama, niewprawnego do szkoły życiowej. Rodzice, widząc nieustanny zły humor jedynaka, sądzili początkowo, że powód niezadowolenia jest daleko poważniejszym, zanim rzecz cała uległa wyjaśnieniu. Wtedy ojciec, stary praktyk biurowy, starał się wyjaśnić nowicyuszowi, że w stanie urzędniczym tego rodzaju przykrości należą jeszcze do najmniejszych. Niezupełnie pocieszony wywodami rodzica, Adam czuł się zniechęconym na pierwszym kroku pracy zawodowej, chociaż nie przychodziło mu na myśl, że narodowość jego stanowi rzeczywisty powód obecnych nieprzyjemności.

Niedługo jednak rzecz wyjaśniła się przy ostrzejszem zajściu, jakie miało miejsce pomiędzy zwierzchnikiem i podwładnym z bagatelnego, jak zwykle, powodu.

— Po co to było kończyć uniwersytet, aby później takiego głupstwa nie umieć zrobić, — rzekł zgryźliwym jak zwykle tonem Wołkow, takie bowiem było nazwisko przełożonego Adama.

Cierpliwość młodego człowieka całym szeregiem scen poprzednich została doszczętnie wyczerpaną. Zbladł,

podstąpił szybko do mówiącego i rzekł głośno i z nietajoną irytacyą:

— Proszę się nie zapominać, pan nie masz prawa mówić mnie impertynencyi, ja dalej na to nie pozwolę. Radzę zrozumieć to i zapamiętać sobie.

Wołkow widocznie nie spodziewał się podobnie ostrej repliki, spojrzał ze zdziwieniem na Adama i odstępując od niego, rzekł półgłosem:

— *Dzierzkij Polaczok* (zuchwały Polaczek).

Wytknięcie narodowości, wypowiedziane w tej formie, przyjął młody człowiek za obelgę dla siebie; w jednej chwili znalazł się w gabinecie dyrektora departamentu i hamując uniesienie, opowiedział mu pokrótce postępowanie z nim najbliższego zwierzchnika, przytaczając dosłownie frazes ostatniego o polskości. Dygnitarz wysłuchał cierpliwie Adama i rzekł tonem łagodnym:

— Proszę być spokojnym, ja panu krzywdy robić nie pozwolę.

Na drugi dzień Piasecki przeniesionym został do innej kancelaryi, Wołkow zaś został zawezwany do biura dyrektora; nie opowiadał jednak nikomu o treści przeprowadzonej z nim rozmowy.

Kandydatura ciągnęła się siedem miesięcy, po upływie których Adam otrzymał posadę pomocnika sekretarza sądu okręgowego w samym Petersburgu, następnie awansował na sekretarza w tymże sądzie, po upływie zaś lat trzech znalazł się sędzią śledczym, ale już na prowincyi. Ostatni okres życia, trwający lat parę, należał do najprzyjemniejszych w jego wspomnieniach. Przyzwyczajony od dzieciństwa żyć w stolicy, bez opuszczania jej murów nawet na czas krótszy, znalazłszy się obecnie w zaciszu małego powiatowego miasteczka, wstąpił w nową zupełnie fazę, całkiem niepodobną i stokroć przyjemniejszą od całej przeszłości. Przedewszystkiem

powiększenie funduszów jego utrzymania zeszło się z taniością życia prowincyonalnego; dobrobyt, dotąd nieznany, stał się jego udziałem. Następnie praca, jakkolwiek nieustająca i nieraz uciążliwa, odpowiadała wewnętrznym jego intencyom; wymagała wysiłku myśli, inteligencyi, wiedzy specyalnej i przynosiła korzyść społeczeństwu, słowem, zawierała w sobie te mianowicie cechy, o jakich myślał i od swojej działalności wymagał. Wreszcie tutaj po raz pierwszy wszedł w sfery towarzyskie, obce mu dotąd zupełnie, a ta nowa, nieznana strona życia upajała młodego człowieka miłym urokiem.

Podczas obecnego pobytu na prowincyi, zmuszonym był dwukrotnie jeździć do Petersburga, za każdym razem dla spełnienia smutnego obowiązku; najpierw matka jego a później ojciec zmarli w niespełna rok jedno po drugiem. Ostatni zeszedł ze świata takim samym kancelistą, jakim przed czterdziestu laty wstąpił do służby.

Następującym awansem Adama Piaseckiego, posuwającego się stopniowo w hierarchii urzędniczej, była posada towarzysza prokuratora w jednem z większych miast gubernialnych cesarstwa. O ile życie w skromnem zaciszu nęciło go ku sobie, to przeciwnie świat większego miasta prowincyonalnego wywarł na nim wprost niesympatyczne wrażenie. To też z trudem starał się on naśladować niezręcznie i przyswajać nieumiejętnie zwyczaje i warunki życia wielkomiejskiego, wpadając przytem często w karykaturę. Również stosunki służbowe na obecnem stanowisku mniej odpowiadały życzeniom Adama. Poprzednio był względnie niezależnym, nie posiadając na miejscu zwierzchnika nad sobą; odpowiadał jedynie w razie widocznej opieszałości lub złej woli; obecnie stał się składowem kółkiem skomplikowanej maszyny, jaką był sąd dosyć obszerny ze względu na duży swój okrąg. Na każdym kroku musiał się Piasecki liczyć z bezpośrednią swoją władzą — prokuratorem,

a jednocześnie z pośrednimi zwierzchnikami, prezesem sądu i gubernatorem. Podobna sytuacya zmuszała do pewnej elastyczności i giętkości w postępowaniu, co nie zgadzało się z prostą i uczciwą naturą tego człowieka.

W tym to czasie odsłonił się przed oczyma Adama obraz życia rosyjskich urzędników na prowincyi, którego dotąd bliżej nie znał zupełnie; poprzedni pobyt w zacisznem miasteczku nie ujawniał tych cech tak szczegółowo. Z powodu swojego stanowiska zmuszonym był wnikać w różne sfery, przez co wiele rzeczy starannie ukrywanych dochodziło do jego wiadomości. Pierwszym rażącym faktem, o którym dotąd słyszał tylko zdaleka, było łapownictwo całej prawie kasty urzędniczej, tak że pomiędzy znajomymi mu dygnitarzami gubernialnymi, rzadkie wyjątki pod tym względem na palcach można było policzyć. Zacząwszy od samego gubernatora, o grzeszkach którego przy obsadzaniu wakujących posad powtarzano w sekrecie zajmujące szczegóły, a skończywszy na biednym kanceliście, zadowalniającym się kilkunastu kopiejkami nielegalnego dochodu, wszyscy posiadali jedno tło moralne. Etyczna strona Adama dotkniętą została w najdrażliwszym punkcie, skoro nabrał przekonania, że i koledzy jego po fachu, stróże i rzecznicy sprawiedliwości, nie zawsze mają ręce czyste. Szczegóły sprzedajności sędziów w wielu wypadkach były tak oczywiste, że przeczyć im było niepodobna. Gdy raz w poufnej rozmowie z kolegą swoim i przyjacielem poruszył tę bolesną kwestyę, interlokutor przerwał mu:

— Daj spokój, mój kochany, to nasza dobra, szeroka rosyjska natura; nie chcemy bliźnim czynić źle, a że człowiek sam przytem coś zarobi, to dla obu stron... lepiej.

Druga ujemna strona stosunków, którą poznał już poprzednio ale na mniejszą skalę, to nałóg pijaństwa, któremu większa część urzędników hołdowała niewol-

niczo. Adam lubił przed jedzeniem wypić kieliszek wódki, parę razy w życiu zdarzyło mu się nawet być w stanie nietrzeźwym, ale stałe i nadmierne pochłanianie alkoholu uważał za rzecz poniżającą godność człowieka. Tymczasem na każdym kroku spotykał się z objawami tego rodzaju, wysokość rangi, ani wiek nie stanowiły przeszkody, a cała różnica polegała na tem, że dygnitarze przepijali pieniądze otrzymane na weksel, drobni zaś urzędnicy z zastawu zegarka lub części garderoby. Niejednokrotnie zmuszonym był wypełniać czynności służbowe w towarzystwie dobrze podchmielonych kolegów, lub starszego od siebie wiekiem i stanowiskiem urzędnika odwozić do domu w stanie zupełnie nieprzytomnym. Podczas przerwy rozprawy w jego oczach przynoszono niby sekretnie wódkę zamkniętym na naradzie sędziom przysięgłym, a duchowny obecny w sądzie podczas zeznania świadków ledwie na nogach mógł się utrzymać.

Ojciec Adama nie pił zupełnie; młody chłopiec, jako uczeń gimnazyalny a następnie jako student uniwersytetu nie bywał w towarzystwach i takiego życia nie znał zupełnie, gdyż na omawianym punkcie stosunki w stolicy nie różnią się od prowincyonalnych.

Podczas pobytu Piaseckiego w gubernialnem mieście zaszedł fakt, będący w pośrednim związku z jego działalnością urzędową, który pozostał pamiętnym mu na całe życie. Wicegubernator miejscowy, były oficer kawaleryi, człowiek nadzwyczaj nierówny w postępowaniu, gwałtowny, traktujący posadę swoją, jako konieczny dodatek do pensyi, znanym był powszechnie ze mściwego charakteru; z gubernatorem podtrzymywał on z konieczności oficyalny stosunek, wiedziano jednak powszechnie, że byli antagonistami. Podczas rewizyi urzędów prowincyonalnych, wicegubernator zetknął się w jednem z miasteczek przy oficyalnej czynności z refe-

rentem biura powiatowego Rożnowem, dymisyonowanym oficerem artyleryi, człowiekiem nałogowym, zapaleńcem a nawet awanturnikiem. Przy rewizyi czynności służbowych tegoż, który wówczas znajdował się w nieco podchmielonym stanie, nastąpiło ostre starcie pomiędzy dygnitarzem a drobnym urzędnikiem, który co do treści sporu miał słuszność po swojej stronie. Fakty zajść podobnego rodzaju w tych stosunkach należą w kronikach rosyjskiej biurokracyi do bardzo rzadkich i pociągają zawsze za sobą zgubne skutki dla niższego urzędnika, bez względu po czyjej stronie znajdowała się słuszność. Podobnie i w danym wypadku wicegubernator, na zasadzie przysługującego mu podczas rewizyi gubernii prawa, zawiesił natychmiast w urzędowaniu krnąbrnego podwładnego, który następnie po upływie trzech dni otrzymał od gubernatora kompletną dymisyę. Zaskoczony takim losem Rożnow nie stracił jednak na fantazyi, sprzedał swoje ruchomości i przeniósł się z rodziną na stałe mieszkanie do miasta gubernialnego; żył bardzo głośno, pił po restauracyach, pozawiązywał liczne znajomości i niejednokrotnie oświadczał publicznie, że nie daruje wicegubernatorowi swojej krzywdy. Nie poprzestawał jednak na postępowaniu powyższem; parę razy postępując umyślnie na ulicy krok za krokiem tuż za swoim możnym przeciwnikiem, prawił mu impertynencye, nie podnosząc jednakże głosu, tak jakby mówił sam do siebie. Rzecz cała szybko rozniosła się po mieście, a ponieważ wicegubernator dla gwałtownego swojego charakteru nie cieszył się wielką sympatyą, śmielsi z jego niepodwładnych nadawali tym zajściom jeszcze większy rozgłos. Zainterpelowany przez podwładnego gubernator, powodowany niechęcią ku swojemu pomocnikowi, oświadczył, że całe zajście po obecną chwilę nosi charakter czysto prywatny a nie urzędowy i radził udać się ze skargą na drogę sądową.

Rozzuchwalony tem Rożnow nie ustawał w słownych napaściach, oczekiwał godzinami na wicegubernatora, idącego lub wracającego z biura, prześladował go podczas spaceru w ogrodzie publicznym, umiał jednak zawsze utrzymać się w pewnych granicach, usunąć w porę, tak że nigdy nie wywołał zajścia ulicznego. Dygnitarz, przy gwałtownem swojem usposobieniu dochodził do najwyższego rozdrażnienia, a czuł się bezradnym, nie mógł wprost pokazać się na ulicy, a gubernator ciągle odmawiał interwencyi policyi, tłomacząc się, że dotąd niema do tego powodu. Całe miasto wyczekiwało z niecierpliwością rozwiązania interesującej sytuacyi, gdy najniespodziewaniej pewnego poranku rozniosła się wiadomość, że Rożnow zmarł nagle w nocy. Pocichu krążyła wieść, podawana skwapliwie z ust do ust, że dzisiejszy nieboszczyk w ciągu dnia poprzedniego cieszył się najlepszym zdrowiem, wieczorem spożył kolacyę w restauracyi, wypił jak zwykle kilka kieliszków wódki i szklanek piwa, następnie w najlepszym humorze pożegnał obecnych i udał się na spoczynek. Wtajemniczonych w stosunki miejscowe uderzała szczególniej jedna okoliczność, że ekskucharz, właściciel restauracyi, w której Rożnow zjadł ostatnią w życiu kolacyę, był faworytem i ulubieńcem wicegubernatora, znanego ze swoich kulinarnych upodobań. Wszak ludziom dla tworzenia plotek tak niewiele potrzeba!

Miasto gubernialne leżało w okręgu służbowym Adama jako towarzysza prokuratora, a śledzenie przestępstw, spełnionych w tym rajonie, było jego obowiązkiem. Fatalny wypadek z Rożnowem, poruszający całe miasto, nie mógł przejść mimo jego uwagi jako urzędnika. Ponieważ jednak w danym razie chodziło o wysoko postawioną osobę, która w następstwie mogła być wmieszaną do dochodzenia karnego, postanowił nie działać na własną rękę, lecz tylko w porozumieniu z naj-

bliższym swoim zwierzchnikiem, prokuratorem. Przed wydaniem więc rozporządzenia do ekshumacyi zwłok, udał się do przełożonego i wypowiedział mu pogląd swój na obecną sprawę. Prokurator słuchał go z szeroko otwartemi oczami, wreszcie cierpliwość jego została wyczerpana, gdyż przerwał mówiącemu:

— Czyś pan, Adamie Osipowiczu, zmysły postradał.

Zadziwienie przeszło obecnie na Adama.

— Dlaczego, zapytał.

— Urzędnik nie dzisiejszy, roztropny, doświadczony, żeby chciał podobną sprawę rozpoczynać!!! — Doprawdy, nie rozumiem dzisiaj pana, przecież widoczne, do czego śledztwo doprowadziłoby nas; a co później? jakie następstwa, pomyślałeś pan o tem?! To dobre we Francyi, ale nie u nas; nie możemy narażać osoby wysoko postawionej w hierarchii państwowej; nie możemy w imię dobrze zrozumianego patryotyzmu kompromitować rządu w osobie jego organów. Adamie Osipowiczu, nie obrażaj się, wiesz że cię szanuję! ale w tej chwili przemawia przez ciebie niespokojna krew polska. Zresztą dajmy temu pokój; proszę nawet pana o obecnej naszej rozmowie nikomu nie wspominać — dodał na zakończenie prokurator z lekkim akcentem zwierzchnika.

Adam odszedł, pogrążony w myślach, niezadowolony ze siebie samego!

III.

Posadę towarzysza prokuratora Adam zajmował znacznie dłużej, niż to zazwyczaj miewa miejsce przy stopniowem posuwaniu się naprzód urzędników sfery sądowej. Parę razy ominął go prawie już pewny awans, koledzy, młodsi latami służby, otrzymywali wyższe posady, on pozostawał wciąż na jednej, nie rozumiejąc przy-

czyny, tamującej mu karyerę urzędniczą. Osobiście nie mógł przypisywać sobie żadnej winy, był pracowitym i sumiennym w wypełnianiu włożonych na niego obowiązków, nie powodował się nigdy ubocznymi względami, a na myśl o sprzedajności wzdrygała się jego prawa natura.

Lat z górą dziesięć minęło od opuszczenia ławki akademickiej, a w ciągu tego czasu zewnętrzny wygląd Adama zarówno jak i nastrój jego myśli uległy pewnym zmianom. Blondyn o słabym zaroście, wcześnie w kątach czołowych poczynał łysieć; wzrostu słusznego, dość szczupły, z żółtawą cerą twarzy okolonej bokobrodami, przedstawiał typową postać urzędnika rosyjskiego ze sfery inteligentnej. Zajęcie służbowe, połączone z pracą umysłową, zmuszające do bezustannego stykania się z ujemnemi stronami natury ludzkiej i bezpośredniego spoglądania oko w oko nieszczęściu innych, rozwijało w nim wrodzoną drażliwość, wywołując niekiedy przejawy zdenerwowania. Dodatnią stronę Adama stanowił szczegół, że, chociaż nieustannie zajętym był a nawet dość często przeciążonym pracą obowiązkową, nie przestawał jednak żyć w świecie myśli; iskra inteligencyi, rozniecona w nim podczas studyów uniwersyteckich, nie zagasła z chwilą opuszczenia podwoi wszechnicy, owszem przyświecała mu nadal; zamiłowanie wiedzy pchało go do nieustannego śledzenia za jej rozwojem i stanowiło jeden z najżywotniejszych interesów osobistej egzystencyi. Wyznawca stopniowego postępu ludzkości, w młodzieńczych już latach dalekim był od radykalizmu; obecnie doświadczenie życiowe i szerszy horyzont poglądów czyniły go jeszcze bardziej umiarkowanym. Usposobienie Adama pod zewnętrzną powłoką chłodu i obojętności w istocie było uczuciowe; wrodzona jednak refleksyjność a także szkoła lat przeżytych, tamowały przejawy sentymentalizmu. Bywały wprost chwile, w któ-

rych żałował że jest sędzią, uważając przestępstwo za przeciętną wielu czynników, pomiędzy którymi własne ja winnego wypadkową zaledwie odgrywa rolę; w tych jednak chwilach nie dał się unosić teoretycznym popędom, stawiając po nad nie poczucie obowiązku. Powyższemi atoli uwagami nie wyczerpuje się charakterystyka wewnętrznego całokształtu Adama Piaseckiego; należy dopełnić ją jeszcze paru rzutami. Na punkcie religijnym ewolucya jego pojęć nie wielkim uległa zmianom od czasów ławki uniwersyteckiej; co do własnych przekonań stał twardo na punkcie pozytywizmu, jednocząc go z szeroką tolerancyą dla wiary innych. Kwestye narodowościowe, wywołane niemi spory i waśnie uważał za klątwę dziejową, za nieszczęście ludzkości; nie zapomniał o polskiem swojem pochodzeniu, ale stanowiło ono dla niego fakt zupełnie obojętny. Używając wyłącznie języka rosyjskiego, nie był również patryotą tego narodu, przeciwnie widział liczne jego wady tak w charakterze jednostek jak i w ustroju państwa; kosmopolityzm w najszerszem tego słowa znaczeniu stanowił na tym punkcie wyznanie jego wiary. Kierunek wykształcenia, jakie odebrał, i dalszych samodzielnych studyów wpływał bezwarunkowo na powyższe poglądy; poświęciwszy długie lata badaniu zjawisk życia społecznego, usunął na plan oddalony polityczne dzieje przeszłości, spoglądając na nie z niemałą dozą uprzedzenia. Walki narodów o prawo egzystencyi, czyny bohaterskie w tym kierunku jednostek nie wzruszały jego natury, wrażliwej pod innym względem na dzieła podniosłe.

Adam pozostał dotąd kawalerem, jakkolwiek życie rodzinne pod wpływem wspomnień własnego dzieciństwa nęciło go ku sobie; w zasadzie postanowił się ożenić, jednak aż do obecnej chwili, zajęty pracą obowiązkową, za mało oddawał się towarzystwom i żadna kobieta nie zwróciła na siebie silniejszej jego uwagi. By-

wały chwile przelotnego zajęcia, które mijały szybko po rozbudzeniu się. Wymagania, jakie stawiał względem domniemanej przyszłej towarzyszki życia nie były zbyt wygórowane; pragnął tylko widzieć w swej przyszłej żonie powierzchowność pociągającą i wewnętrzną wartość moralną: kwestye wyższego wykształcenia i majątku stawiał na dalszym planie, przygotowany usunąć nawet je zupełnie, jeśli pierwsze dwa warunki odpowiadać będą w zupełności. Uczciwość kobiety była w jego pojęciu podstawą rodziny, fundamentem, dźwigającym budynek szczęścia domowego, spokojem i bezpieczeństwem męża, gwarancyą wychowania dzieci w zdrowiu moralnem. Niezależnie od tego żądał, aby żona w pierwszych latach pożycia wywierała na niego urok i wdzięk tak pociągający, aby mogła niemi zasłonić wszystkie inne, piękniejsze nawet od siebie kobiety. Majątku i wykształcenia nie odrzucał w zasadzie, uważał je poniekąd nawet za pożądane, ale za bardziej przyjemne, niż pożyteczne rzeczy. Powyższe poglądy, pozostające w dziedzinie teoryi, nie znalazły dotąd praktycznego zastosowania.

Długie i nadaremne oczekiwanie awansu zaczęło Adama wyprowadzać z cierpliwości; wobec świeżo odkrytej wakującej posady członka sądu, przy którym dotąd urzędował, postanowił kandydaturę swoją poprzeć w Petersburgu osobiście.

Po kilkoletniej niebytności znalazł się znowu w stolicy, miejscu rodzinnem, z którem wiązało go tyle wspomnień przeszłości. Wyszedłszy zupełnie ze stosunków, musiał pierwsze dni pobytu poświęcić odnalezieniu dawniejszych kolegów i przyjaciół. W liczbie ostatnich znalazł się towarzysz z ławki szkolnej, zajmujący obecnie wybitne stanowisko w ministeryum sprawiedliwości, które decydowało o awansie urzędników sądowych. Wziął on sprawę Piaseckiego do serca, obiecał dotrzeć

do źródła, dowiedzieć się o powodzie pomijania go dotąd i zaprotegować bezpośrednio w sferach decydujących. Dwa dni przeszło Adamowi na wyczekiwaniu, zanim przyjaciel zdołał się wywiązać z przyjętego na siebie zobowiązania; napotkał tam na trudności, których nie oczekiwał.

— Nie z wesołą wieścią przychodzę — rzekł on do Adama — istnieją kwestye w naszych stosunkach, o których dotąd nie wiedziałem. Wyobraź sobie, twój awans napotyka na nieprzewidziane przeszkody.

— Co mogą mi zarzucić — zapytał niepomiernie zdziwiony.

— Powiem ci otwarcie prawdę, ale zachowaj ją przy sobie, to poważna tajemnica sfer wysokich. Przez bezpośrednią władzę jesteś jaknajlepiej popieranym, lecz na przeszkodzie twemu awansowi staje twój katolicyzm. To nie uprzedzenie ani kaprys naszego ministra, lecz kierunek obecnej polityki wewnętrznej, któremu nadaje impuls, jeśli nie wola samego monarchy, to w każdym razie najbliższego jego otoczenia.

— Więc położenie jest bez wyjścia — zauważył Piasecki.

— Owszem, jest wyjście w twoich rękach, przejdź na prawosławie.

— Powiem ci otwarcie, dotąd nie myślałem o tem zupełnie — odpowiedział po chwili namysłu.

Adam opuścił stolicę i powrócił do domu silnie przygnębiony. »Czy fatum jakie, — myślał — ściga moją rodzinę, ojciec całe życie był kancelistą, ja zaś do śmierci mam pozostać na obecnej posadzie«.

Poczucie wyrządzanej krzywdy dotknęło go bardzo, nie tylko ze względu na sam awans, wynoszący w rezultacie około tysiąca rubli na rok wyższej pensyi, ponieważ i obecnie utrzymanie miał wystarczające, ale bolała go niesprawiedliwość, jakiej stawał się ofiarą.

Wewnętrzne przeświadczenie, bez przeceniania osobistej wartości, wskazywało mu, że praca jego służbowa więcej warta, niż wielu współtowarzyszów prawosławnych, którzy awansowali normalnie. Myśli, rzuconej przez przyjaciela z Petersburga co do zmiany wyznania nie roztrząsał zupełnie, przeszła ona szybko, nie pozostawiwszy głębszych śladów w pamięci. Powrócił do przerwanych wyjazdem zajęć biurowych, szukając w pracy zapomnienia myśli, jakie pod wpływem ostatnich niefortunnych zdarzeń w głowie jego budzić się zaczęły. W ten sposób przeszło kilka miesięcy, w ciągu których umysł Adama wrócił do poprzedniej równowagi.

Zamieszkując z górą lat dziesięć w jednem mieście i zajmując względnie wybitne stanowisko, Piasecki znanym był powszechnie i liczne posiadał stosunki, wytworzone nie wskutek jego starań, lecz naturalnym biegiem okoliczności. Zajęty urzędowaniem, zwolennik poważnej lektury, nie wiele zbywającego czasu mógł poświęcić życiu towarzyskiemu, chociaż tego ostatniego nie unikał. W licznych domach i na wielu przyjęciach oficyalnych zmuszonym był znajdować się ze względu nas wój charakter urzędowy; prócz tego podtrzymywał stosunki z kilku rodzinami, wśród których pobyt sympatycznie go usposabiał. W karty nie grał zupełnie i z tego powodu klub miejscowy, ognisko życia starszyzny biurokratycznej, rzadkim miewał go gościem; Adam przekładał domy familijne i towarzystwo kobiet. Postać jego poważna, chociaż bez odcienia pozowania lub pedanteryi, łatwość obejścia, grzeczność towarzyska, dystyngowana popularność, wreszcie wstręt do alkoholizmu wyróżniały go dodatnio z pośród otoczenia.

— Dlaczego nie żeni się ten człowiek, powtarzały nieraz pomiędzy sobą kobiety.

Wreszcie znalazła się jedna, która silniejsze na nim wywarła wrażenie.

Była nią Wiera Pawłowna, córka miejscowego kupca, człowieka dosyć zamożnego, którą przedtem widywał już na ulicy i w teatrze, a obecnie poznał osobiście w domu wspólnych znajomych. Ojciec jej Paweł Morozow prowadził handel zbożem, posiadał własny młyn i był dostawcą prowiantu w swoim zakresie dla wojska; majątek jego nie milionowy, przedstawiał się jednak poważnie, chociaż liczba dzieci zmniejszała wielkość posagu dla córek. Panna skończyła lat dwadzieścia dwa, była przystojna w całem tego słowa znaczeniu; ładnego wzrostu, proporcyonalnych kształtów, szatynka z ciemnemi oczami, główkę miała niewielką, rysy prawidłowe i delikatne, owal ramion, biust i figurę bez zarzutu. Ukończyła instytut w Moskwie, mówiła po francusku, grała na fortepianie; jednem słowem wychowanie jej odpowiadało stopniowi zamożności rodziców, podnosząc wdzięk jej powierzchowności. Twarz jej zazwyczaj nosiła wyraz smętnego zamyślenia, w oczach jaśniała myśl; mówiła wolno, głosem miękkim i łagodnym, ruchy posiadały wdzięczną falistość. Pierwsza rozmowa z Adamem przeciągała się długo; zdawało się, że ci ludzie od dawna są z sobą znajomi, tyle mieli sobie do powiedzenia; jeden poruszony temat pociągał za sobą następne, wypowiadali zdania otwarcie z rzadkiem zaufaniem przy pierwszem poznaniu, na wielu punktach zgadzając się w poglądach. Przy pożegnaniu przyznali też sobie nawzajem, że wieczór dzisiejszy przeszedł im niespodziewanie szybko.

Adam wracał do domu i całą noc przepędził pod wpływem błogiego wrażenia; zdawał sobie jasno sprawę, że nastrój obecny jest wynikiem nowej znajomości i chętnie poddawał się tej myśli. Natura jego nie zupełnie była pozbawioną wrażliwości; niejednokrotnie ulegał wpływom kobiet wskutek obcowania z niemi, ale to, co odczuwał w tej chwili, niepodobnem było do ana-

logicznych zdarzeń z przeszłości. Zmysły bezwarunkowo grały tu rolę; jakżeby chętnie w tej chwili przycisnął do swej piersi uroczą główkę Wieroczki i okrywał ją pocałunkami. Jednocześnie budziło się w nim inne jeszcze uczucie, nieznane dotąd zupełnie. Oprócz żądzy chwilowego uścisku, pragnąłby ciągle mieć ją przy sobie, zbratać się z nią myślą, iść razem przez całe życie. Usypiając wreszcie sądził, że to może wpływ paru kieliszków wina, które w gościnie wypił przy kolacyi i że trzeźwy dzień jutrzejszy przyniesie mu inny sąd na zdarzenia dzisiejszego wieczoru.

Rzeczywiście rano obudził się w zmienionym nastroju, żartował wobec samego siebie z romantycznego wczorajszego usposobienia, znajdując je za nieodpowiednie wobec zbliżającej się czterdziestki. Dzień przeszedł normalnym trybem przy ciągłem zajęciu, lecz kiedy wieczorem znalazł się sam w swoim gabinecie, myśli jego zaczęły ulatywać od socyologii Herberta Spencera, którą trzymał w ręku. Pustka, próżnia, bezcelowość życia, których dotąd nie odczuwał, opanowywały jego duszę nad wyraz silnie.

»Należy stworzyć inne życie, — myślał — założyć ognisko domowe, z dotychczasowej sfery egoizmu przejść w atmosferę ciepła rodzinnego, czuć koło siebie istoty blizkie, kochające«. I myśl jego bezwiednie zeszła do wspomnień wczorajszego wieczoru; postać Wieroczki stanęła żywo przed oczyma pamięci, zdawało mu się, że patrzy w jej rozumną, sympatyczną twarzyczkę, widzi jej oczy lekko zamglone marzeniem, słucha jej miękkiego głosu, wymawiającego zwolna zdania, pełne myśli głębszych. Dlaczego nie poznać bliżej panny, zbadać ją chłodnym okiem obserwatora, przecież na to zdobyć się potrafi, nie jest jeszcze zakochanym do ślepoty!? A jeśli dalszy egzamin wypadnie z pomyślnym rezultatem i jednocześnie spostrzeże, że panna równie obda-

rza go sympatyą, dlaczego nie miałby zdobyć się na krok stanowczy?! Wszak celibatu w życiu nie zaprzysięgał.

Pod wpływem powyższego i następnych rozumowań, postanowił odwiedzić dom, w którym poznał interesującą go osobę i zasięgnąć bliższych informacyjnych szczegółów. Uskutecznił to w kilka dni; garść otrzymanych wiadomości, odnoszących się do Wieroczki i jej rodziców, pozbawioną była ważniejszego znaczenia, obracała się w kółku rzeczy ogólnikowych bez istotnej treści, ale za to otrzymał cenną wskazówkę, gdzie z panną spotkać się może. Właśnie w tym domu bywała ona prawie codziennie o stałej godzinie, pozostając w zażyłej przyjaźni z córką gospodarstwa. Powyższa okoliczność wypadła bardzo na rękę młodemu człowiekowi, nie omieszkał przeto z niej skorzystać; spotkania odbyły się kilkakrotnie, a za każdym razem Adam ulegał coraz bardziej wpływowi uroku dziewczyny. Znalazł ją więcej rozwiniętą umysłowo, niż przypuszczał przy pierwszem poznaniu; nie była artystką, ale kochała i rozumiała muzykę, co stanowiło jeden więcej wspólny węzeł pomiędzy dwojgiem tych młodych ludzi. Obcowanie i rozmowa z nią dziwnie wpływały na Adama, czuł się jakby młodszym; wiele rzeczy, dotąd obojętnych, zaczęło zwracać jego uwagę, budziły się w jego głowie myśli zupełnie nowe, słowem doznawał wrażenia, jak gdyby wewnętrzna jego istota ulegała przeradzaniu się. O ile mógł wnioskować z drugiej strony, dodatnie wrażenie świeżo zawartej znajomości było wzajemne. Panna nietylko go nie unikała, ale chętnie pozostawała w jego towarzystwie, w niektórych nawet wypadkach trzymała się taktyki wyróżniania go, przeprowadzanej przytem w sposób tak konwenansowo-dyskretny, że o zalotności lub o zarzucaniu sideł nie mogło być mowy. Adam po kilku widzeniach zdobył się na pierwszy krok stanowczy — począł bywać u Morozowych.

Dom nowych znajomych przedstawiał typowe cechy rosyjskiej rodziny kupieckiej, które jednak nie raziły Piaseckiego, znającego dobrze miejscowe warunki życia. Stary Morozow, człowiek około lat sześćdziesięciu, wysoki, z blond brodą, dobrej tuszy, łączył w obejściu wygórowaną i nienaturalną grzeczność z własną powagą i pewnością siebie. Ubrany zawsze w długi, przestrony, czarny surdut, zwyczajem kasty, do której należał, nosił grubą złotą dewizkę u zegarka oraz kosztowne pierścionki na palcach. Mówił wolno i głośno basowym głosem tylko o swoich interesach lub o sprawach sfery kupieckiej; w postronne materye rzadko bardzo się zapuszczał, wypowiadając wtedy krótkie ale niepozbawione słuszności zdania. Żona jego, wyglądająca względnie starzej od męża, chodziła po domu zawsze w czepku, używając również w całej toalecie staromodnych strojów, nie ukrywała braku wyższego wykształcenia, oświadczając to wprost przy każdej zdarzonej sposobności, że nie posiada go wcale, gdyż w czasach jej młodości wyższa edukacya kobiet była zaniechaną. Czyniła wrażenie kobiety energicznej, praktycznej i obdarzonej zdrowym rozsądkiem. Najstarszy syn, mężczyzna trzydziestoletni, żonaty, sposobiący się objąć po ojcu całość interesów, jako przedstawiciel nowej generacyi, posiadał do pewnego stopnia wyższe wykształcenie, kończył szkołę handlową w stolicy, znał języki obce, a nawet jakiś czas uczęszczał na kursa młynarstwa w Schemnitz w Saksonii, powtarzano jednak o nim w sekrecie, że lubił karty i inne rozkosze doczesnego życia, ulegając od czasu do czasu parudniowym napadom hulanek, które chwilowo wykolejały go z normalnego, pracowitego zresztą życia. Młodszy brat pozostawał po za domem jako oficer pułku dragonów, kwaterującego w innej miejscowości i rzadko odwiedzał rodzinę, używając życia po kawalersku, wbrew radom oszczędnego ojca. Wiera była najstarszą z córek,

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

dwie młodsze jej siostry pozostawały na edukacyi w Moskwie, pozostałe rodzeństwo składało się z drobnych jeszcze dzieciaków. Dom był zamożny, ale prowadzony patryarchalnie i dosyć w sobie zamknięty; pojawienie się Adama wobec małej liczby bywających osób obcych, odrazu objaśniało jego stanowisko i cel przybycia. Przyjętym został z oznakami szacunku, z jakim kupiectwo w Rosyi otacza sfery urzędnicze, nastrój jednak całej rodziny pozostał poważnym, nieledwie chłodnym. Jedna tylko Wieroszka nie starała się ukrywać sympatycznego wrażenia, jakie nowy gość w domu na nią wywierał. Wzajemna życzliwość pomiędzy młodymi rosła z dniem każdym, Adam nie miał najmniejszej już wątpliwości, że panna jest nim zajęta. Stosunek oparty na milczącem porozumieniu się, a raczej wzajemnem odczuwaniu, trwał jakiś czas, przynosząc obu stronom rozliczne chwile, pełne niekłamanej rozkoszy. Niekiedy się Adam posuwał do czulszego uścisku ręki, wtedy Wieroszka nie usuwała swojej, tylko twarz jej pokrywała się rumieńcem. Parę razy byli razem w teatrze, łącznie odbywali spacery, Adam bywał w jej domu gościem coraz częstszym.

IV.

Podczas wspólnego przebywania i długich rozmów, prowadzonych najczęściej bez świadków, Adam starał się badać charakter i usposobienie Wieroszki. Odkrył w dziewczynie iskrę intelligencyi, łagodność, zdawał się być pewnym jej przychylności, pomimo tego jednak nie nabrał przeświadczenia, że poznał do gruntu całą jej wewnętrzną istotę. Rozmowna z nim, w towarzystwie innych osób, nawet członków własnej rodziny, przeważnie była milczącą, chociaż twarz jej nie przybierała nigdy wyrazu bezmyślności. Niekiedy zdawało mu się, że podczas prowadzonej z nim rozmowy nagle myśl jej

ulatywała gdzieindziej, lecz po chwili szybko, jakby przebudzona, wracała do przerwanego tematu rozmowy. — Normalny jej nastrój nosił odcień melancholijny, który nie znikał w zupełności, nawet przy ożywieniu towarzyskiem, co tem bardziej uderzało, że w poglądach bynajmniej nie była pessymistką; z wielu jej zdań ujawniało się pragnienie, a nawet żądza życia. Tego rodzaju usposobienia nie uznawał Adam za wrodzone, przypisywał go raczej jakowemuś przejściu, które kiedyś w przeszłości zaważyć musiało na losach tej dziewczyny, powodując niewytłumaczony u niej niczem cichy smutek i zamyślenie. Było coś z sfinksa w tej kobiecie, chociaż dostrzeżonej tajemniczości Adam nie tłomaczył sobie w sposób dla niej ujemny, ponieważ wszystkie inne dostrzeżone rysy charakteru przemawiały na korzyść Wieroszki, która oddziaływała głównie na młodego człowieka swoją kobiecością. — Nie przypisując tedy zbyt wielkiego znaczenia powyższej zagadkowości, po pewnym czasie Adam postanowił ostatecznie ujawnić jej swoje zamiary, chociaż te ostatnie dla otoczenia przestały już być tajemnicą. Według pojęć, panujących w Rosyi, panna ze sfery kupieckiej, nawet bogatsza od córki Morozowa, wychodząc za mąż za urzędnika, zwłaszcza z uniwersyteckiem wykształceniem, robiła karyerę. To też Wieroszka przyjęła oświadczyny z nietajoną radością, ojciec jej rzekł zaś do Adama:

— Zaszczyt to dla naszej rodziny i dla całego stanu kupieckiego taka propozycya pana prokuratora. Jeżeli córka zgadza się oddać panu rękę, my rodzice nic przeciwko temu mieć nie możemy. Lecz ja nie jestem tak bogatym, jak może pan sądzi; na założenie gospodarstwa wypłacę przed ślubem pięć tysięcy rubli ciepłą ręką i tego liczyć nie będę; Wieroszka na wydatki otrzymywać będzie dwa tysiące rocznie, a po mojej śmierci tyle, ile należna jej część z prawa przypadnie.

Obecnie posagu dawać nie mogę, kapitał mój w obrocie, wycofywać go, to strata dla interesu, a ja za życia tylko przysporzyć coś mogę. Po mojej śmierci podzielicie się tem, co będzie...

Adam stronę finansową przy ożenieniu stawiał na drugim planie, własne jego utrzymanie było wystarczające, nic więc nie miał do zarzucenia postulatom starego Morozowa. Będąc dotąd przez całe życie prawie biednym, pięć tysięcy rubli uważał za kapitał dla siebie, o posiadaniu jakiego nie marzył na razie.

Odtąd bywał codziennie w domu przyszłego teścia; wiadomość o jego zamiarach matrymonialnych powoli doszła do kolegów biurowych, którzy winszowali mu przyszłego związku głównie pod względem materyalnym. Adam zdawał sobie jasno sprawę z następstw, jakie wynikną dla niego z małżeństwa z Rosyanką; ślub odbędzie się w cerkwi, a potomstwo według prawa zostanie przymusowo prawosławnem. Na fakty powyższe przygotowanym był z chwilą powstania w jego głowie projektu małżeństwa; w sferach, w których się obracał, nie spotykał prawie rodzin polskich, a jeśli niekiedy zdarzył się wyjątek, to polek, panien na wydaniu, nie poznał zupełnie. Wspomnienie o pochodzeniu własnem rzadko zjawiało się w jego pamięci, w ciągu roku niewiele razy miał sposobność przemówienia paru słów w języku ojczystym, wyemancypowany zaś na punkcie wiary, nie wypełniał obrządków religijnych, był już właściwie polakiem tylko na papierze. Dotąd nikt z rodziny Morozowych nie poruszał w rozmowie z nim kwestyi powyższej, chociaż nie wątpił, że wiedziano o jego tytularnej narodowości. W umyśle Adama zaczęła powoli kiełkować ta myśl; narodziny jej były niepostrzeżone i powolne, tak że sam jasno nie zdawał sobie z tego sprawy. Wreszcie proces krystalizujących się już pojęć był mniej więcej następujący:

Wychodząc z urobionych na ławie uniwersyteckiej kosmopolitycznych poglądów, Adam kwestye narodowe uważał za podrzędnej natury, w przekonaniach zaś religijnych był oddawna tak zwanym bezwyznaniowcem; starganie dwóch powyższych skrupułów stanowiło punkt wyjścia dla dalszego rozumowania. Mająca nastąpić w niedalekiej przyszłości zmiana jego życia, miała go wkrótce postawić w nowych zupełnie warunkach; za żoną dzieci jego będą musiały być prawosławnemi, on zaś jako katolik stanowić będzie obcy element wśród własnej rodziny; fakt ten bezwarunkowo będzie dla niego i dla pozostałych o ujemnem znaczeniu. Rodzina wskutek tego przestanie być ścisłą, jednolitą całością; dla dzieci ojciec pozostanie dalszym, niż powinien być, pewien rys obcości rozdzielać ich będzie.

Powyższa analiza coraz częściej zaprzątała myśli Adama. Równocześnie inne jeszcze uwagi przychodziły mu do głowy. Oto, czy słusznem będzie teraz, kiedy ma założyć rodzinę i zostać jej głową, skazywać się dobrowolnie na nieposuwanie w urzędzie, a przez to uszczuplać fundusze domu, oglądając się jedynie na majątek żony. Wszak wie dobrze, że skoro zostałby prawosławnym, awans jego jest kwestyą krótkiego względnie czasu i to awans dosyć znaczny ze względu na poprzednie długie wyczekiwanie. Zdolność i praca wyrobiły mu jak najlepszą opinię u władzy, w przyszłości może posuwać się szybko i w następstwie dojść nawet do wysokiego stanowiska; czy należy ze względu na przyszłą rodzinę wyrzekać się tego wszystkiego. Kojarzącym się w ten sposób pojęciom przedstawiał strony ujemne projektu, jakie, jak sądził, odnajdywał z całą bezstronnością. Na punkcie formalnym zmiana wyznania nie krępowała go zupełnie; w gruncie rzeczy nie czuł się dzisiaj katolikiem, tak jak później tylko nazywać się będzie prawosławnym. Pozostawała tylko kwestya zmiany narodo-

wości, ale i ta przy baczniejszem rozejrzeniu się przedstawiała się zupełnie inaczej. Po przyjęciu prawosławia w istocie jego nie nastąpi zmiana, żadne z jego przekonań nie ulegnie przeistoczeniu, pozostanie takim samym pod każdym względem, jakim jest obecnie. Będzie to nic więcej, jak drobiazgowa formalność, pozbawiona istotnej treści, ustępstwa na rzecz koniecznych warunków życia praktycznego. Poglądy powyższe formowały się w jego umyśle powoli, zanim przybrały ostateczną formę decyzyi; po jej zapadnięciu i zupełnem zżyciu się z jej treścią, posunął się w dalsze tego skutki; oto dziwił się, dlaczego dotąd planu tego nie wykonał, dlaczego w ciągu całego szeregu lat dobrowolnie poddawał własną egzystencyę wegetacyi, narażał się tylokrotnie na ubliżające wytykanie mu narodowości, tamował swoją karyerę urzędniczą, podczas gdy postępując inaczej, mógłby już być do tej chwili prezesem sądu.

Nie odrazu jednak, lecz po długim rozmyśle, przystąpił Adam do powziętego postanowienia; zadecydował przeprowadzić całą formalność przyjęcia prawosławia w sekrecie, nie wtajemniczając nikogo ani w sam projekt, ani nie przybierając świadków przy spełnieniu faktu. Nie tylko Wieroszce, ani nikomu z rodziny Morozowych nie wspomniał o tem, ale nadto dla wykonania samego obrządku wybrał sąsiednie miasto gubernialne, odległe o kilka godzin drogi koleją żelazną od miejsca stałego jego pobytu. Za pierwszą tamże bytnością został poinformowanym, że w tym celu należy przedstawić do odnośnej kancelaryi parafialnej metrykę i kopię formularza służbowego, musiał więc wzmiankowane dokumenty wyciągnąć z aktów osobistych własnego biura; nie zwróciło to jednak niczyjej uwagi, przypuszczano bowiem, że dowody te są mu potrzebne wobec zbliżającego się związku małżeńskiego. Od najdawniejszych lat bywając wielokrotnie w cerkwi, znał formy i obrządki wyznania

prawosławnego lepiej, niż katolickie, to też nie potrzebował zupełnie przygotowywać się do czekającego go aktu przejścia i uczyć się zasad nowej religii.

Jakkolwiek powtarzał sobie ustawicznie, że oczekiwana ceremonia jest tylko czczą formalnością, jednak przy nadejściu oznaczonego dnia, pomimo woli czuł się dziwnie usposobionym i jakby niespokojnym; daremnie wmawiał w siebie całą czczość oczekiwanego obrządku, silił się na zwykłą równowagę umysłu i swobodę humoru, nie mógł ich jednak osiągnąć. Ubrany we frak i biały krawat, bledszy niż zwykle, szedł z głową bezwiednie zwieszoną z hotelu, w którym się zatrzymał, ku soborowi katedralnemu. W obszernem wnętrzu świątyni znajdowało się zaledwie kilka osób; przybrukane złocenia obrazów i pył na ścianach rażąco odbijały w blasku światła dziennego. Duchowny w bogatej ryzie wyszedł na jego spotkanie i dał mu do ucałowania duży srebrny krzyż; Adam przy uskutecznieniu tej czynności po raz pierwszy w życiu przeżegnał się według obrządku wschodniego i w tymże momencie myśl o tem przeszła mu przez głowę. Nastąpiła później spowiedź uszna, ale nadzwyczaj krótka i ogólnikowa, bez szczegółowego wyliczania grzechów; podczas niej duchowny ograniczył się do dwóch, trzech treściwych pytań, a nie wdając się w uwagi i roztrząsanie sumienia, polecił tylko żal za grzechy; całość tej spowiedzi tchnęła oschłością, nosiła cechy szablonu, urzędowej formalności. Wysłuchanie mszy, przyjęcie komunii oraz podpisanie odnośnego aktu wypełniły cały obrządek. Adamowi jakby ciężki kamień spadł z piersi, nie wskutek odstąpienia od religii przodków, ale z powodu ukończonej ceremonii. Pozostały jeszcze małe formalności do wykonania, otrzymanie przemienionej metryki oraz wynagrodzenie duchownego i usługi kościelnej za ich pracę. Po ostatecznem dopełnieniu tych czynności, wracał pierwszym pociągiem do domu.

W czasie drogi powrotnej i pierwszych dni następnych daremnie Piasecki wmawiał w siebie, że w życiu jego nie zaszedł żaden fakt doniosły, że odbył tylko beztreściwą formalność, pozostaje jednakże nadal bez zmiany tymże samym, kim był przedtem. Zapewne nie będzie wypełniać obrządków prawosławnego wyznania, jak nie wypełniał katolickich, ale pomimo tego nurtował w nim dziwny niepokój, jakiego nie odczuwał dotychczas. Wspomnienia po obecną chwilę odgrywały bardzo drugorzędną rolę w normalnym toku jego myśli; obecnie nie mógł pojąć, dlaczego pamięć bezwiednie nasuwała mu obrazy dawno minionej przeszłości; postacie zmarłych rodziców, uwiędłej w zaraniu życia biednej siostrzyczki żywo stawały przed jego oczami. Siłą woli starał się otrząsnąć z tych nieproszonych wspomnień, które wywierały na niego przygnębiające wrażenie, lecz próżno; co pewien czas wracały z tem większą mocą.

Nie chcąc nadawać rozgłosu spełnionemu faktowi, Adam oddał dokument o przyjęciu prawosławia odnośnemu urzędnikowi, prosząc, aby go dołączył do jego aktów osobistych. Dokładnie nie był w stanie zdania sobie sprawy, dlaczego po prostu krył się ze wszystkiemi temi czynnościami, które miały choćby najmniejszy związek z krokiem, jaki uczynił; we własnem przekonaniu nie dopuścił się czynu zbrodniczego, a jedynie czyn praktycznego rozumu; tymczasem pozory ukazywały, jak gdyby wstydził się własnego postępku. Pomimo oględności Adama, wiadomość o zmianie przez niego wyznania rozniosła się wkrótce po całem biurze; jedni z urzędników wspominali mu tylko mimochodem, że wiedzą o spełnionym fakcie, inni, zwłaszcza młodsi, winszowali i składali życzenia. Wszystko to drażniło go niewypowiedzianie; w prostych słowach, zwracanych do niego, starał się odnajdywać dwuznaczniki, niewinny uśmiech na twarzach witających go, przyjmował niesłu-

sznie za wyraz ironii, słowem tworzył nieistniejące zarzuty, które w głowach kolegów i towarzyszy pracy zupełnie nie istniały. Nie umiał również wytłumaczyć sobie faktu, dlaczego po powrocie w ciągu trzech następnych dni nie zachodził zupełnie do Morozowych, czwartego dopiero siłą woli zmusił się do odwiedzin. Po drodze postanowił zwierzyć się przed Wieroszką z zaszłego czynu, pragnąc przez to jeszcze silniej utrwalić łączący ich węzeł. Za przybyciem powitano go serdecznie, dziwiąc się długiej jego nieobecności; podał na usprawiedliwienie niespodziewany wyjazd w interesach służbowych, dopiero gdy znalazł się sam na sam z panną, rzekł do niej:

— Wiesz Wieroszko, gdzie ja i po co jeździłem.

Według zwyczaju, przyjętego w Rosyi, narzeczeni po słowie, nawet w wyższych sferach towarzyskich, mówią do siebie »ty«.

Na ruch jej ramion i główką, wskazujący nieświadomość, ciągnął dalej.

— Byłem w Orle, ale czy wiesz, że ja dotąd byłem katolikiem.

— Tak, wiedziałam o tem.

— Przyjąłem prawosławie; chciałem aby nas nie różniło wyznanie.

O innych powodach w związku z karyerą urzędową uważał za właściwe zamilczeć w tej chwili. Dziewczę spojrzało na niego lekko zdziwionym wzrokiem, lecz momentalnie twarzyczka jej przybrała zwykły swój melancholijny wyraz. Rzekła spokojnie:

— Byłam kilka razy w polskim kościele; mnie bardzo się podobały obrządki katolickie.

Rozmowa na dany temat na tem się urwała.

Adama dotknęło na razie niemiłe uczucie; sądził, że zakomunikowana wiadomość wywrze na narzeczoną silne wrażenie, spowoduje wylew wdzięczności za drogą

ofiarę, jaką złożył dobrowolnie na ołtarzu wspólnej miłości. Tymczasem stało się przeciwnie; krótka wzmianka panny wskazywała, że nie zupełnie aprobuje czyn jego spełniony, bo przecież o niezrozumienie doniosłości tego ostatniego nie mógł jej posądzać.

Przytoczona rozmowa w związku z poprzedniem usposobieniem wywarła na Adamie nadzwyczaj ujemne wrażenie; po raz pierwszy był niezadowolonym z narzeczonej; postępowanie jej nie obraziło go, ale dotknęło w sposób bolesny. Nie dał zupełnie tego poznać po sobie, jednak z trudnością hamował wewnętrzne podrażnienie.

V.

Pomimo powyższej dysharmonii, stosunki nie uległy najmniejszej zmianie; projekt małżeństwa posuwał się ku urzeczywistnieniu, oznaczono miesiąc, w którym ma odbyć się wesele, przystąpiono do przygotowania wyprawy, która według zwyczajów sfery kupieckiej powinna odznaczać się ilością i jakością. Powoli nawet zacierało się w pamięci Adama niemiłe wrażenie, jakiemu uległ przed niedawnym czasem; fakt zmiany wyznania obojętniał mu również, nie pociągając za sobą dotykalnych dla niego następstw. Całe popołudnia spędzał zazwyczaj w domu Morozowych, często pozostawał i na kolacyę, przebywał jednak przeważnie w towarzystwie panny, stosunek z resztą rodziny był dosyć dalekim; inna zupełnie sfera towarzyska i stopień wykształcenia stanowiły pomimowolną przeszkodę do bliższej łączności.

Pewnego dnia, gdy znajdował się w biurze zajęty czynnościami urzędowania, odebrał list, zaadresowany nieznajomą ręką. Treść krótkiego bileciku anonimowego, pisanego kobiecym charakterem, w pierwszej chwili nie wywarła na niego żadnego wrażenia. — Zwykłe

oszczerstwo, pomyślał, chowając list do kieszeni. Tekst był następujący:

»Szanowny Panie, składam mu powinszowanie, jako zwycięzcy armii rosyjskiej. Panna Wiera Morozow, poznawszy Szanownego Pana, straciła gust do oficerów kawaleryjskich, zapomniała nawet o rotmistrzu Skobelcynie, którego dawniej otaczała gorącą sympatyą. Serdecznie winszuję powodzenia.

Życzliwa«.

Wśród zajęć biurowych prawie zapomniał o złośliwym bileciku; anonimy z zasady przedstawiały dla niego wątpliwą wartość; prawda, sądził, nie kryje się podstępnie, a występuje śmiało i jawnie. Podobne paszkwile pojawiają się przed zawarciem prawie każdego związku małżeńskiego. Podrzeć to i rzucić, myślał, udając się z biura do domu. Podczas zwykłej poobiedniej wizyty u Morozowych o odebranym liście zapomniał prawie zupełnie; Wieroszka była zachwycająca, jak zwykle.

Późnym wieczorem znalazł się w mieszkaniu; wyjmując z kieszeni papiery, wzrok jego pomimo woli padł na anonimowy bilet. Usiadł przy biurku, odczytał równe pismo kobiece raz, drugi i trzeci, podparł głowę na ręku i zadumał się; poważny wyraz twarzy wskazywał na pracę myśli. Powoli zaczęło zwracać jego uwagę kilka spostrzeżeń: bilet był bezsprzecznie nieuczciwym, wywołany nizkim charakterem nieznanej autorki, ale w każdym razie nie obraca się w kole ogólników, lecz powołuje na fakt konkretny, wymienia nazwisko rotmistrza Skobelcyna. Dlaczego Wieroczka, opowiadając mu tylokrotnie niezawiłe dzieje swojej panieńskiej przeszłości, ani razu nie przytoczyła tego nazwiska; wszak wymieniała dwóch niedoszłych konkurentów do swojej ręki, charakteryzując ich osoby, podając najdrobniejsze szczegóły. Nie sposób wnioskować z powyższych spo-

strzeżeń o wiarogodności treści anonimu, ale niemniej fakt ten zasługuje na zaznaczenie. Adam rozważał dalej; nieraz przyznawał wobec samego siebie, że całość charakteru Wieroszki, pomimo szczegółów sympatycznych, nie jest dla niego księgą otwartą; w duszy tej dziewczyny kryją się myśli, jemu nie wypowiedziane, może zdarzenia przeszłości, jemu nie odkryte. Nie chce jej sądzić na zasadzie przypuszczeń zbyt ogólnikowych, w każdym jednak razie rozsądek nakazuje zatrzymać się nieco nad fatalnym listem. Po namyśle doszedł do wniosku, że droga jawna będzie najuczciwszą; zapyta się wprost Wieroszki o osobę Skobelcyna; dalekim był od zapuszczania się w podstępy, najsłuszniej sprawę całą postawić otwarcie. Niema co odkładać, jutro wyjaśni obecne wątpliwości.

Postanowiona decyzya nie uspokoiła go w zupełności; dotąd osobistość narzeczonej tkwiła w jego pojęciu czysta i nieskalana; w chwili obecnej nie spadła z piedestalu, ale niewyraźny cień przysłaniał błyszczącą poprzednio aureolę. Pragnął gorąco rozwiać podnoszące się nieśmiało wątpliwości i z przykrem natężeniem oczekiwał dnia jutrzejszego.

Gdy znalazł się nazajutrz u Morozowych sam z narzeczoną, patrząc jej w oczy, zapytał jakby od niechcenia:

— Wieroszka, ty znasz rotmistrza Skobelcyna, dlaczego nigdy nie wspomniałaś mi o tem.

Słowa te oddziałały na dziewczynę, jak uderzenie gromu; zadrżała całem ciałem, twarz jej pokryła się prawie trupią bladością, pochwyciła ręką za krawędź stołu, aby nie upaść na ziemię. Chwil kilka stała bez odpowiedzi, jak oniemiała. Adam z trudem wierzył własnym oczom, w głowie jego wiła się jak wąż myśl straszna, paliła jak rozpieczone żelazo: »anonim ma racyę«.

— Co ci jest, czemu nie odpowiadasz, pytał jej.

Bezwładnie osunęła się na stojący tuż fotel.

— Wybacz mi, szepła, słabo mi się zrobiło.

I ukryła twarz w dłoniach. Adam równie blady i drżący podszedł do zamkniętych drzwi sąsiedniego pokoju, otworzył je i stanąwszy w progu, rzekł do znajdującej się tamże matki dziewczyny:

— Wiera Pawłowna zasłabła.

Następnie wolnym krokiem przeszedł do przedpokoju, nałożył na siebie palto i nikogo nie żegnając wyszedł na ulicę.

Nigdy w życiu dotąd nie znalazł się pod wpływem podobnie przygnębiającego uczucia, jak tego, jakie przeżywał w chwili obecnej; na razie nie mógł przyprowadzić myśli do możebnego porządku, słyszał szum nieokreślony, spotykanych ludzi i widziane przedmioty oglądał w kształtach przewrotnych. Uszedłszy kilkadziesiąt kroków zmuszonym był zatrzymać się na chwilę, tchu mu nie stawało. Tu nie pozory, ale fakta, samo postępowanie jego narzeczonej oskarżają ją niezbicie.

Bezwiednie szedł mało ruchliwą ulicą ku krańcowi miasta, zresztą na przechodniów nie zwracał uwagi. A więc wszystko skończone, tak niespodziewanie, tak nagle i zarazem z takiego poniżającego cały stosunek powodu. Przypomniał sobie, że opuścił dom Morozowych bez pożegnania, po impertynencku prawie, ale co miał mówić i kogo żegnać, chyba rozwiane nadzieje i zniszczone szczęście, a zniszczone nie z powodu jego winy.

Co teraz czynić, zadał sobie pytanie po pewnej chwili. Chcąc być sprawiedliwym, nie można poprzestać na tem, co dotąd posiada. Narzeczona jego pozostaje pod ciężkim bardzo zarzutem, ale dotąd nie miała możności wypowiedzenia słowa na swoją obronę. Nie, tak nie można; należy przedewszystkiem zbadać prawdę do gruntu i jeśli dopiero wówczas Wiera okaże się niegodną jego honoru i miłości, odejść. Obecnie za wcześnie.

Wracając powoli z oszołomienia do możliwej zdolności wiązania myśli, zaczął się zastanawiać, w jaki mianowicie sposób wyjaśnić całą kwestyę, dojść do zbadania prawdy. Byłoby co najmniej naiwnem zwracać się w tym celu do Wieroszki; zbieranie wiadomości pomiędzy znajomymi po mieście świadczyłoby o kompromitującym go nierozsądku.

Gdy tak zastanawiał się nad rozwiązaniem powyższego pytania i brnął w ujawniających się trudnościach, nagle błysło mu w głowie nazwisko Anisowa. Był to młody adwokat, jeden ze zdolniejszych i więcej wziętych, posiadający bardzo liczne stosunki, wskutek pochodzenia miejscowego, człowiek przytem towarzyski w całem słowa znaczeniu, umiejący pogodzić zajęcia swojego powołania z życiem światowem na szeroką skalę. Równocześnie posiadał Anisow zasłużoną opinię człowieka wysoko uczciwego, pełnego taktu i dyskrecyi, a ponieważ był dla Adama nadzwyczaj sympatycznym, wskutek tego zawdzięczał mu wiele cennych uwzględnień w stosunkach urzędowych. Piasecki po głębszym namyśle postanowił ostatecznie zwrócić się do młodego mecenasa, naturalnie nie w celu szukania u niego porady prawnej, lecz w przekonaniu, że Anisow zna doskonale wszystkie zakulisowe stosunki miejscowych sfer towarzyskich, zatem i historya Wieroszki oraz nieznanego Skobelcyna, jeśli tu wogóle istniała, nie będzie mu obcą. Łączący tych dwóch ludzi związek nie był serdecznym ani nawet blizkim, pozostawali dotąd na stopie życzliwych znajomych, ale równa stopa towarzyska i równorzędne stanowiska obydwóch upoważniały Adama do obdarzenia zaufaniem Anisowa. Zbiegiem okoliczności była właśnie godzina, w której adwokat przyjmował codziennie klientów, powinien więc obecnie znajdować się w domu; Adam skierował kroki swoje wprost ku jego mieszkaniu.

Młody mecenas zdziwił się na widok nieoczekiwanego gościa, a zainteresowanie się jego wzrosło jeszcze, gdy z poważnego nastroju i całego zewnętrznego wyglądu przybyłego poznał, że Piasecki nachodzi gabinet adwokacki w ważnym bardzo interesie. Po zwykłych formach powitania i paru ogólnych frazesach, Adam przystąpił wprost do celu swoich odwiedzin.

— Przychodzę do was, Piotrze Iwanowiczu nie jako do adwokata, lecz jako do człowieka honoru; pragnę pomówić z panem w kwestyi, która w tej chwili jest dla mnie pierwszorzędnej wagi; liczę na wysoką dyskrecyę, której z góry ufam w zupełności.

— Jestem do usług, zaufanie pańskie zaszczyt mi przynosi.

— Jest to kwestya, ciągnął dalej Adam, bardzo a bardzo dla mnie drażliwa, lecz przystępuję wprost do rzeczy i będę treściwym. Zapewne doszedł do pańskiej wiadomości projekt mojego związku małżeńskiego z córką kupca Morozowa.

— Tak, słyszałem o tem, podobne sprawy w naszem mieście są publiczną tajemnicą.

— Z samego wstępu możesz zauważyć Piotrze Iwanowiczu, jak delikatną jest materya, którą przed tobą poruszam. Rozchodzi się z jednej strony o honor kobiety, z drugiej o los całego mojego życia.

Anisow słuchał z coraz wzrastającem natężeniem.

— Muszę przedewszystkiem wyjaśnić, dlaczego pana mianowicie trudzę; nie szukam porady prawnej, lecz wiem, że pan znasz dokładnie stosunki miejscowe i zechcesz powiedzieć mi, co wiesz w danej kwestyi z taką samą otwartością i zaufaniem, z jakiemi ja tu przychodzę.

— Chociaż nie rozumiem jeszcze dokładnie — odparł Anisow — o co panu chodzi, przecież ręczę słowem człowieka uczciwego, że odpowiem pańskiemu zaufaniu.

— Z panną Wierą Morozow jestem po słowie przeszło od miesiąca; wczoraj otrzymałem w biurze anonim, nie wiem od kogo pochodzący, w którym ukryta autorka powiadamia mnie, że narzeczona moja otaczała gorącą sympatyą nieznaną mi postać jakiegoś rotmistrza Skobelcyna. W pierwszej chwili miałem zamiar niezwracania żadnej uwagi na odebrany anonim, po pewnej jednak rozwadze postanowiłem wprost zapytać się panny Morozow, czy zna Skobelcyna. Pytanie moje, zadane bez najmniejszego odcienia tonu indagacyjnego, wywołało u mojej narzeczonej tak straszne wrażenie, że uważałem za jedyny punkt wyjścia opuścić dom Morozowych bez pożegnania. Nie dała mi żadnych wyjaśnień, pozostawiając tem obszerniejsze pole do uwłaczających jej domysłów. W takiem to położeniu znajduję się obecnie; chcę wiedzieć prawdę, aby odpowiednio postąpić; chodzi zaś, jak już zastrzegłem, o jej honor lub moje szczęście osobiste. Nie mogę przecież zbierać po mieście wiadomości. Pan znasz tak wybornie miejscowe stosunki; przychodzę z całem zaufaniem, Piotrze Iwanowiczu, powiedz mi wszystko, co wiesz w tej kwestyi. To zaś, o co proszę, zanadto blizko mnie samego dotyczy, abym potrzebował zapewniać o dyskrecyi z mojej strony względem pana.

Adam skończył, nastąpiła chwila milczenia, którą wreszcie przerwał Anisow.

— Zaufanie pańskie zobowiązuje mnie silnie, lecz zarazem stawia w bardzo trudnem położeniu. Będę za przykładem pańskim otwartym; o pannie Wierze Morozow mówiono przed trzema mniej więcej laty wiele, łącząc w sposób wcale drastyczny nazwisko jej z osobą młodego i bogatego dragona, zdaje mi się Skobelcyna. Opowiadano rzeczy, które według przyjętych pojęć wprost ją kompromitowały. Tyle wiem, a raczej słyszałem i na żądanie pańskie wypowiadam bez ogródek.

Adam powstał blady bardzo ze stołka, gospodarz prosił go jeszcze na chwilę siadać i rzekł:

— Obawiam się, abym nie został źle zrozumianym; powtarzam jedynie pogłoski, nie stwierdzone przezemnie zupełnie; być może, że zawiera się w nich część prawdy, a może nie być jej tam wcale. Wiemy zarówno obydwaj, jak często opinia towarzyska znajduje się w błędzie. To, co ja panu dostarczam, może stanowić poszlakę, za dowód nie wystarcza w żadnym razie.

— Rozumiem dobrze — odparł Adam — to wyjaśnienie pańskie, za które głęboko jestem mu wdzięcznym; nie rozwiązuje ono kwestyi, ale również nie może mnie uspokoić tłomaczenie wątpliwości na korzyść panny. Ostatnia zasada wysoko humanitarna przy orzekaniu winy podsądnych nie da się stosować w kwestyach zaufania kobiecie; egoistyczna logika mężczyzny na to nie pozwala.

— Zupełna słuszność — wtrącił Anisow, który uznał za niewłaściwe występować dalej w samozwańczej roli rezonera, lub badać Adama, co zamierza przedsięwziąć.

Adam podziękował raz jeszcze gospodarzowi za udzielone wyjaśnienie i znowu znalazł się na ulicy w nastroju niespokojniejszym, niż poprzednio. Po powrocie do domu wydał polecenie służącemu nieprzyjmowania nikogo i udał się do swojego gabinetu; obecnie posiadał jedno tylko pragnienie, pozostać samym z własnemi myślami. Chwilami siadał przy biurku, wspierając głowę rękoma, to znowu kroczył wolno wzdłuż obszernego pokoju. Porządkował wrażenia ostatnich dwóch dni fatalnych, starał się stawiać je w świetle możebnie bezstronnej krytyki, wydobywać wnioski logiczne. Praca to była ciężka i bolesna; myśli z początku plątały się chaotycznie, a przy układaniu ich w ład możebny, nieraz siłą trzeba było rwać ich węzły, dotykać miejsc cierpiących.

Treść anonimu, znalezienie się panny przy wzmiance nazwiska Skobelcyna, fama publiczna, wypowiedziana

przez usta Anisowa — niestety wszystko to łączyło się w jedną zbyt organiczną całość, kojarzyło w zbyt piekielną harmonię. Żadna okoliczność nie stawała w obronie Wieroszki, żaden jaśniejszy promyczek nie oświetlał jej postaci, przeciwnie, powstawały coraz to nowe, omraczające ją cienie. Kochała oficera niewątpliwie wcześniej przed poznaniem Adama, mogła nieoględnie manifestować swoje uczucie i bezwinnie dać powód do wylewu złośliwości ludzkiej, lecz w takim razie, dlaczego ani słowem nie wspomniała mu o osobie Skobelcyna, dlaczego padła jak rażona piorunem przy wzmiance jego nazwiska. Nic znaleźć nie można na jej usprawiedliwienie! A gdyby nawet zejść do najbardziej uwłaczającego jej przypuszczenia, że w stosunku ze Skobelcynem, uniesiona siłą pierwszego uczucia, pozwoliła wyzyskać dziewczęcą swoją nieświadomość, to i w tym wypadku taktyka postępowania jej z obecnym narzeczonym, oparta na dotychczasowem kryciu prawdy, stawia ją w gorszym jeszcze świetle. Kobieta, sądził Adam, z pierwszego błędu podnieść się jeszcze może, a nawet stanąć prawie na równi z niewinną, przez wyznanie prawdy ukochanemu; fałsz w tym wypadku ostatecznie charakteryzuje ujemną z gruntu jej naturę. Tak więc wszystkie rozumowania kończyły się potępieniem panny bez konkretnych przeciwko niej dowodów; pozostawała druga strona kwestyi, ważna ze względu na praktyczną swoją doniosłość, jaką obecnie należy mu przybrać taktykę postępowania. Tutaj zdecydował szybko: wymazać dom Morozowych z liczby znajomych, starać się zapomnieć o Wieroszce.

Ciężkie dni bardzo przeżywał obecnie Piasecki; siłą woli starał się wymazać ze wspomnień obraz wczorajszej narzeczonej; z wyjątkiem biura cały czas przepędzał w domu, unikał znajomych; często napadało go dziwne rozdrażnienie za nadejściem godziny, o której zwykł był udawać się w odwiedziny do Morozowych. Piątego dnia,

gdy jak zwykle około dziesiątej rano wyszedł z mieszkania, ze zdziwieniem spostrzegł na trotuarze koło swojego domu wolno przechadzającą się Wieroszkę; zanim jednak zdołał ochłonąć z pierwszego wrażenia, panna podeszła ku niemu wprost ze słowami:

— Czekam na pana z niecierpliwością już przeszło pół godziny.

— Pani na mnie? — zapytał, rzeczywiście zdziwiony.

— Tak, pragnę koniecznie z panem pomówić, proszę mi tego nie odmawiać.

Adam miał twarz poważną, rysy jego przybrały ostry wyraz.

— Czem pani mogę służyć?

— Dlaczego pan kilka dni nie był u nas? — zapytała.

Adam milczał, wtedy ona z niebywałą dotąd u niej energią ciągnęła dalej.

— Więc nawet pan nie raczysz odpowiadać na moje zapytania?

— Czyż ulica będzie właściwem miejscem dla naszej rozmowy?

— Zupełnie odpowiedniem, możemy nie stać, lecz iść wolno. Wszak pan nie życzysz sobie przyjść do naszego domu. Proszę o jedno tylko, o otwartość. Co pan właściwie dowiedział się o mojej osobie w związku ze Skobelcynem?

— Odebrałem anonim, początkowo nie chciałem mu wierzyć, ale potwierdzenie otrzymałem przedewszystkiem w znalezieniu się pani.

— Przecież to wszystko stało się przed naszem poznaniem się.

— Więc pani nie przeczy faktom, tylko ustanawia pomiędzy nimi porządek chronologiczny — rzekł Adam, zdziwiony jej słowami.

— Bo to jedno powinno wystarczyć na moje usprawiedliwienie. Wszak wdowa, wychodząc za mąż, kochała już poprzednio innego mężczyznę.

— Zapewne, ale nie mówiąc już o zbytniej śmiałości porównania, drugi mąż przed zawarciem ślubu wiedział o tem, pani zaś przeszłość swoją pokrywała przedemną tajemnicą.

— I pan się temu dziwisz? bałam się pana utracić; nie kłamałam, milczałam jedynie, nie będąc pytaną.

Adama raziła treść słów narzeczonej, uderzała nieprzyjemnie zmiana tonu w sposobie mowy; głos jej nabrał obcej mu dotąd energii i wskutek tego zmienił się do niepoznania. Innym również był wyraz twarzy, poprzednia smętna słodycz ustąpiła miejsca surowości, rysy jakby nabrały zaostrzenia. Słowem, zdawało mu się, że patrzy na inną zupełnie kobietę, która tylko słabo przypomina dawną Wieroszkę, całość zaś tego wrażenia była najzupełniej ujemną.

— Straciłem do pani zaufanie — rzekł — a bez tego nie wyobrażam sobie miłości ani pożycia małżeńskiego.

Wyraz twarzy dziewczyny zrobił się jeszcze ostrzejszym, rzekła z uniesieniem prawie:

— A ja straciłam wiarę w pańskie przymioty, którymi się łudziłam. Tak, prawda, ja zbłądziłam dawniej, ale przez miłość; pan błądzisz obecnie, tylko przez egoizm.

Powiedziawszy to, odwróciła się i szybko odeszła, pozostawiając Adama na ulicy.

VI.

Adam żywił dla panny Morozow głębsze wprawdzie i tkliwsze uczucie, ale nie było ono ową płomienną miłością, jaką goreją serca młodzieńcze; pragnął znaleźć w żonie, oprócz pociągającej kobiety, uczciwą towarzy-

szkę życia; Wieroszka własnoręcznie wyjęła swój obraz z serca wczorajszego narzeczonego. Obecnie całe dzieje minionego z nią stosunku, po ich zakończeniu pozostawiły w umyśle jego wrażenie wysokiego niesmaku oraz niezadowolenia z samego siebie; a więc i na nim, sądził, sprawdziła się stara maksyma, że kobieta przy użyciu jedynie swojej powierzchowności potrafi wprowadzić w błąd nawet doświadczonego i ostrożnego mężczyznę. Panna w ostatniej rozmowie na ulicy, wykazała według jego zdania, rzeczywistą swoją naturę, wtedy dopiero była sobą, a takiej, jaką ona się okazała w istocie, nie pragnął mieć za żonę. Kilku słowami zatarła doszczętnie w umyśle Adama wszystkie dodatnie wrażenia, jakie w nim pobudzała dotąd; obecnie pragnął tylko zapomnieć o Wieroszce, a sądził, że nastąpi to bez zbytnich wysiłków z jego strony. Chociaż nie poczuwał się do żadnej winy, jednak niemile dotknięty całym stosunkiem, zwłaszcza zaś jego zakończeniem, wycofał się zupełnie z życia towarzyskiego i cały czas wolny od zajęć biurowych przepędzał w domu. Wieść o zerwaniu blizkiego już urzeczywistnienia małżeństwa rozniosła się szybko w odpowiednich sferach miasta. Komentowano ją w rozmaity sposób, zabarwiając złośliwością na koszt jednej lub drugiej strony, nikt jednakże w rozmowie z Adamem nie poruszał drażliwej kwestyi. Przeżywał on obecnie nową zupełnie fazę życia duchowego: wysiłkiem woli usuwał ze swoich myśli obraz Wieroszki, oraz wspomnienia chwil, spędzonych w jej towarzystwie, i na tym punkcie zdołał już opanować samego siebie. A była to rzecz nie tak łatwa, wymagająca nieustającej baczności, bo nieproszeni goście pragnęli wciskać się pod rozmaitymi pozorami; niekiedy myśl o Wieroszce pojawiała się w formie krytycznego o niej sądu, lecz za chwilę zmieniała jak kameleon swoje barwy i wtedy siłą musiał ją usuwać. Lekarstwo odnalazł w natężonej pracy zawo-

dowej i w poważnej lekturze, których był zawsze zwolennikiem; od niepożądanych wspomnień uwolnił się rzeczywiście po pewnym czasie, ale zauważył jednocześnie, że zajęcia wypełniane pod przymusem woli straciły urok poprzedni, wkraczając w granice traktowanej rzemieślniczo pracy umysłowej. Jako towarzysz prokuratora obowiązanym był dosyć często do publicznych przemówień podczas rozpraw sądowych; chociaż nie posiadał daru wymowy w estetycznem tego słowa znaczeniu, przemówienia jego nosiły jednak wybitne cechy wywodów i wnioskowania, nieubłaganej logiki oraz jasności przedstawienia faktycznej i teoretycznej treści; obecnie czuł sam, że mówi w sądzie inaczej zupełnie, niż poprzednio, pomimo tego, że do przemówień tych przygotowywał się z powiększoną starannością. Przy czytaniu dzieł naukowych nie dopisywała mu również pamięć poprzednia; często zmuszonym był wracać się i powtarzać przeczytane już stronice, pragnąc dokładnie uprzytomnić sobie cały bieg myśli autora, co dawniej nie zdarzało się nigdy. Przy zajęciach biurowych bezwiednie wkraczał w drobiazgi i szczegóły czysto formalnej natury; dostrzegł już w sobie słabszą rzutność myśli, osłabienie nawet pamięci, ujawniające się w zapominaniu niektórych imion własnych. Wszystko to czuł sam, a czem usilniej zmuszał się do pracy, powyżej wymienione ujemne cechy występowały jeszcze wyraźniej. Natężona praca, samowiedza zaniku sił umysłowych, brak życia towarzyskiego, wreszcie nieustanne stróżowanie własnych myśli, wszystko razem powodowało dziwny stan u Adama; na pozór równowaga jego zdawała się niezachwianą, a jednak odczuwał w pewnych chwilach straszną próżnię; niezadowolenie z chybionego celu życia; bał się analizować samego siebie, pragnął tylko zapomnieć o własnych spostrzeżeniach nad samym sobą i podsycać dalej tę egzystencyę, która dotąd nie dała mu żadnej rozko-

szy życia. Niekiedy zazdrościł skromnego szczęścia spotykanym prostakom, odczuwał drgania złamanego serca własnego, które w warunkach innych biłoby może zupełnie inaczej. Fizycznie był na tyle jeszcze zdrowy, że zdołał opanowywać nerwy, które niekiedy starały się już przypominać o swojem istnieniu; tylko wygląd zewnętrzny, wyraz oczu i cera twarzy nie poddawały się rozkazom woli.

Po długich miesiącach ciężkiego życia zabłysnął promyk światła dla Adama w postaci nominacyi na znacznie wyższą posadę w jednem z większych miast na wschodnich kresach Rosyi. Rada petersburskiego przyjaciela okazała się praktyczną, przyjęcie prawosławia odniosło należyty skutek po niecałych dwóch latach; awans był znaczny zarówno pod względem stanowiska w hierarchii urzędniczej, jak i uposażenia materyalnego. Powyższe dwa względy nie wielką grały rolę dla Piaseckiego przy obecnym jego nastroju, zmiana jednakże miejsca pobytu sprawiała mu prawdziwe zadowolenie; opuści wreszcie to miasto, które w ciągu lat kilkunastu strawiło jego młodość, za pracę odmawiało nawet własnego zadowolenia, wreszcie zamiast otuchy do życia, karmiło goryczą i zwątpieniem. Miasto nie winno, myślał Adam, lecz człowiek pomimo woli otacza sympatyą nawet miejscowości, w których przeżył dni pomyślne. Otrzymawszy urzędowe zawiadomienie o przeniesieniu, nie skorzystał z wolnego do rosporządzenia czasu, pozostawionego w podobnych wypadkach urzędnikom rosyjskim, lecz pospiesznie wysprzedał urządzenie mieszkania, poskładał oficyalne wizyty pożegnalne i udał się na nowe miejsce przeznaczenia.

Podróż, pierwsze chwile pobytu wśród nowego otoczenia oddziałały ożywczo na znękanego; miasto okazało się mniejsze od poprzedniego, nacechowane jednak było jakimś oryginalnym charakterem, nosiło wybitne piętno

wschodu. Wśród mieszkańców Rosyanie stanowili napływową znaczną mniejszość, miejscowa ludność składała się z górskich uralskich plemion mongolskiego pochodzenia, oraz z licznie osiadłych tutaj Tatarów; styl budynków przypominał Azyę, nieregularne uliczki zabudowane były domkami bez dachów i z małą liczbą okien frontowych; tu i ówdzie sterczały wieże minaretów. Najbliższa już okolica dawała przedsmak pustyni; przez nieprzejrzany step toczyła swoje fale wspaniała rzeka, z drugiej strony widnokręgu rysowały się w oddali szczyty Uralu.

Adam, należący obecnie do dygnitarzy prowincyonalnego sąsiedztwa, zmuszonym był poskładać oficyalne wizyty wybitniejszym członkom miejscowej biurokracyi oraz duchowieństwu, postanowił jednak nie przyjmować bliższego udziału w życiu towarzyskiem, o ile stanowisko jego na to pozwoli. Po ogólnem rozejrzeniu się w stosunkach miejscowych odnalazł mało zmienioną kopię tych, wśród których żył poprzednio; powyższe spostrzeżenie utrwaliło w nim już dawniej powzięty zamiar prowadzenia życia odosobnionego. Pod względem czynności urzędowych przypadło mu objąć kierownictwo wydziału karnego w sądzie, oraz prezydowanie na odnośnych rozprawach. Dwaj jego koledzy wotanci, z którymi ciągłą miał styczność, różnili się bardzo pomiędzy sobą: starszy wiekiem był uosobionym paragrafem, literą prawa, myśl jego zdawała się nie wykraczać poza kodeksa i ustawy, w podsądnych widział nie ludzi, lecz przedmioty, na których stosowano przepisy karne. Młodszy znacznie, drugi jego kolega, przed kilku zaledwie laty ukończył uniwersytet, posiadając atoli wysoką protekcyę, wspinał się szybko po drabinie karyery biurokratycznej; był on liberałem w pojęciu rosyjsko-urzędniczem, człowiekiem wolnomyślnym z silnym dość odcieniem despotyzmu. Adam nie wchodząc z nimi w bliższą

zażyłość, podtrzymywał konieczne stosunki koleżeńskie. Powyższy komplet dopełniał prokurator, człowiek jeszcze dość młody, także ze stosunkami, chorujący na mówcę, głośny apostoł carskich ukazów i despotyzmu; co jednak tkwiło w głębi jego duszy, tego zapewne sam jeszcze dzisiaj nie wiedział.

W kilka miesięcy po objęciu przez Adama nowej posady naznaczonym został kolejny dzień rozpraw karnych, jak zwykle pod jego przewodnictwem. Przeznaczona na ten cel duża sala w świeżo wzniesionym gmachu sądowym, ozdobiona olbrzymich rozmiarów portretem cara, raziła oko czerwonością: tego koloru bowiem było sukno na stojącym na wywyższeniu długim stole prezydyalnym, takież portyery i firanki. Obszerna część sali, wyznaczona dla publiczności, oddzielona baryerą, zapełniona była ławkami, wznoszącemi się amfiteatralnie; ława przysięgłych, grubo rzeźbiona, przypominała stale kościelne, całość sprawiała wrażenie teatru. W dniu tym, zaledwie kilka osób, zainteresowanych w sprawach, zajmowało obszerny przedział dla publiczności; z nadejściem godziny dziesiątej odezwał się dzwonek, woźny wygłosił stereotypowe »sąd idzie, proszę wstać«, drzwi otworzyły się jednocześnie z dwóch stron, jednemi wchodzili przysięgli, powoli zajmując przeznaczone im miejsca, drugiemi sędziowie koronni, Adam i dwaj jego koledzy w asystencyi prokuratora i sekretarza; wyznaczony z urzędu obrońca z pomiędzy kandydatów sądowych umieścił się tuż koło ławy podsądnych. Sędziowie przysięgli, na tle poważnego otoczenia oryginalny przedstawiali widok; pora była letnią, trzech więc z pomiędzy nich przybyło boso; byli to podmiejscy obywatele; inni dwaj wyróżniali się błyszczącymi guzikami przy wytartych wicemundurach; resztę ławy stanowili kupcy w długich, czarnych surdutach z wiszącemi na zewnątrz grubemi dewizkami ze złota przy srebrnych zegarkach, oraz Tatarzy w cha-

rakterystycznych swych kostyumach, z krymkami na głowach.

Adam otworzywszy posiedzenie, zwrócił się do oficyalisty sądowego z zapytaniem:

— Która sprawa gotowa?

— Sprawa Kowalskiego, *wasze prewoschoditielstwo* — zameldował ostatni.

— Sąd przystępuje do rozpatrzenia sprawy pozbawionego praw Jana Kowalskiego, obwinionego o czwartą ucieczkę z Syberyi i o włóczęgostwo — ogłosił prezydujący, następnie zwrócił się do oficyalisty:

— Wprowadzić podsądnego.

W otoczeniu dwóch żołnierzy z dobytemi szablami wszedł na salę siwy starzec, wysokiego wzrostu, nieco pochylony. Twarz jego bladą i wynędzniałą okalała długa broda, ubrany był w płaszcz aresztancki; prawidłowe, szlachetne rysy i cała powaga postaci dziwnie odbijały od tego ubrania. Pewnym krokiem zajął wskazane mu miejsce na ławie podsądnych i spokojnie stał w pozycyi wyczekującej. Po odbyciu zwykłych wstępnych formalności, sekretarz na wezwanie prezydującego przystąpił do odczytania aktu oskarżenia następującej treści:

»Dnia 14. czerwca 1902 roku *uriadnik* Piotr Grazow dostrzegł na gruntach wsi Gornaja, permskiej gubernii, starającego się ukryć przed nim włóczęgę, który przy aresztowaniu stawił opór władzy. Doprowadzony siłą do wiejskiego aresztu, przytrzymany nie posiadał żadnych dowodów legitymacyjnych, z przeprowadzonego jednakże śledztwa administracyjnego okazało się, że jest on zbiegłym, pozbawionym wszystkich praw, zesłańcem syberyjskim, Janem Kowalskim, czemu podsądny ostatecznie nie zaprzeczył. Śledztwo sądowe na zasadzie przeprowadzonej korespondencyi z odnośnemi władzami stwierdziło, że Kowalski za zbrodnię przyjęcia udziału w buncie polskim w roku 1863, połączonej z rozbiciem

i ograbieniem kasy rządowej na cele tegoż buntu, skazanym był pierwotnie na karę śmierci, która to kara wskutek jego małoletności w drodze łaski zamienioną mu została na dożywotne zesłanie na Syberyę. Podsądny poprzednio trzykrotnie już zbiegał z Syberyi, za każdym jednak razem był ujęty, karany knutami i więzieniem; niezależnie podlegał wielokrotnie mniejszym karom za niedozwoloną naukę czytania i pisania, jakiej udzielał innym zesłańcom i ich dzieciom. W ciągu 30 lat innych przestępstw nie popełnił, wykazał charakter łagodny i prowadzenie moralne«.

Prezydujący Adam Piasecki ze spokojną twarzą słuchał aktu oskarżenia, po ukończonem czytaniu zwrócił się z zapytaniem do podsądnego:

— Co obwiniony Jan Kowalski może powiedzieć na swoje uniewinnienie, czy przyznaje się ze skruchą do winy, gdyż okoliczność ta wpływa na złagodzenie kary.

Było to pytanie stereotypowe, jakie sąd zadaje każdemu podsądnemu. Nastąpiła krótka pauza, po której Kowalski rzekł głosem naturalnym bez patosu.

— Wysoki sądzie! — wszystko, co zawiera akt oskarżenia jest prawdą; tak jest, osiemnastoletnim chłopcem walczyłem w szeregach powstańców 1863 roku, zesłany na Syberyę bez terminu, cztery razy usiłowałem wrócić do kraju, za każdym razem bezskutecznie. A jednak do żadnej winy przyznać się nie mogę, sumienie moje nic mi nie wyrzuca; młodość poświęciłem idei wzniosłej i uczciwej zarazem, jestem męczennikiem całe życie, pragnąłem przed śmiercią zobaczyć kraj mój ojczysty, złożyć kości do grobu we własnej ziemi. Żałuję, ale tego jedynie, że zamiar mój się nie powiódł, bo siły stargane niewolą i tułactwem już mi nie pozwolą przedsięwziąć go na nowo. Więcej, panowie, nie mam nic do powiedzenia.

Starzec na pozór mówił spokojnie, lecz wypowiedziane słowa musiały go dużo kosztować, gdyż po ukończeniu zsunął się raczej, niż siadł na ławę podsądnych. Twarz prezydującego Adama poważna i blada nie wykazywała żadnego wzruszenia. Rzekł tonem suchym:

— Wskutek przyznania się obwinionego uważam śledztwo sądowe za ukończone, udzielam głosu panu prokuratorowi.

Ostatni wstał, obejrzał się na próżną prawie salę i zaczął mówić z początku spokojnie, podniecając się jednakże następnie własnemi słowami.

— Panowie przysięgli! — mieszkamy wszyscy na pograniczu Syberyi i około naszych domów nie rzadko przesuwają się skrycie uciekający przestępcy, gotowi po drodze do popełnienia każdej zbrodni; czyhają oni przy nadarzającej się tylko sposobności na wasz dobytek, a nawet i na wasze życie. Ten, którego w tej chwili widzicie przed sobą, nie popełni zapewne kradzieży ani zabójstwa w celu rabunku, a jednak nie mniejszym jest od tamtych zbrodniarzem. On w ciągu długiego niestety swojego życia prowadzi nieustanną tajemną walkę z rządem naszym, z wiarą naszych ojców, z naszą ojczyzną, chce nam wydrzeć wszystko, co mamy drogiego i świętego. Syn buntowniczego narodu, z mlekiem matki wyssał dziką nienawiść ku wierze prawosławnej, ku rosyjskiej narodowości, ku naszemu białemu carowi; zaprawdę, działalność jego stokroć szkodliwsza od czynów zwykłych złodziei i morderców, ofiarą ostatnich padają jednostki, tacy jak on pragną zatraty nas wszystkich. Dochodzą was zapewne echa zaburzeń, zakłócających porządek i spokój w niektórych miejscowościach naszej szerokiej ojczyzny — wyście sumieniem społeczeństwa, waszym obowiązkiem przeciwdziałać tym rozruchom i nieporządkom, utrzymać stary ład, odziedziczony po przodkach. Przed wami stoi niepoprawny wichrzyciel; nie wątpię

ani na chwilę, że jednomyślnym werdyktem oskarżającym udowodnicie, żeście godni zaufania monarchy, który was najmiłościwiej dopuścił do współudziału przy wymiarze sprawiedliwości.

Prokurator skończył, słuchany z natężeniem przez ławę przysięgłych; podczas jego mowy spokojna dotąd twarz Kowalskiego zmieniła dotychczasowy wyraz, zadrżała oburzeniem i gniewem; była nawet chwila jedna, kiedy podnosił się i chciał przerwać mówiącemu, lecz opanował się i usiadł nerwowo. Po oskarżycielu zabrał z kolei głos obrońca, prosząc przysięgłych o wydanie werdyktu uniewinniającego na tej zasadzie, że podsądny wobec tego, że poprzednio już skazany został na dożywotne zesłanie, powróconym zostanie na Syberyę, a późny wiek nie dozwoli mu na nową ucieczkę. Na mowę obrońcy odpowiedział prokurator krótką repliką, zaznaczając, że ucieczka z miejsca kary jest przestępstwem tem większem, że powtarza się po raz czwarty i nie powinna ujść bezkarnie. Obrońca wreszcie prosił przysięgłych o łaskę dla Kowalskiego ze względu na jego starość.

Podczas całej rozprawy Adam kierował nią z całym spokojem; obecnie zwrócił się do podsądnego:

— Kowalski, wam służy prawo ostatniego słowa.

Starzec podniósł się nerwowo.

— Pan prokurator myli się bardzo, nazywając mnie niebezpiecznym zbrodniarzem; jestem nieszczęśliwym, ale uczciwym człowiekiem; miłość ojczystego kraju nie może być występkiem, a ja tylko za to cierpię całe życie. Panie prezesie — rzekł, zwracając się do Adama — pan jesteś Rosyaninem z ojca i dziada, pan kochasz ojczyznę swoją, jej służysz i nikt tego panu za złe nie bierze, a to moja jedyna wina, za którą pokutuję. Tylko ten, kto zmienia wiarę i narodowość zasługuje na miano nikczemnika. Skażcie mnie na knuty, więzienie, ale nie nazywajcie zbrodniarzem, bo nigdy nim nie byłem.

Więzień usiadł wyczerpany. Gdyby kto z obecnych spojrzał w tej chwili na twarz prezydującego, uderzyłaby go śmiertelna jej bladość, lecz wszyscy zajęci byli biegiem rozprawy, która postępowała normalnym trybem. Wręczono przysięgłym pytania i ci po krótkiem, czysto informacyjnem przemówieniu Adama, udali się na naradę.

Starszyną pomiędzy nimi był bogaty miejscowy kupiec; rozwinął wręczony mu przez trybunał arkusz i rzekł do towarzyszy:

— Tutaj panowie są dwa pytania, pierwsze czy Jan Kowalski jest winien przypisywanego mu przestępstwa czwartej ucieczki z Syberyi, oraz drugie pytanie, czy istnieją okoliczności łagodzące.

— Sprawa jasna jak słońce — wtrącił urzędnik.

— A jaka grozi mu kara za czwartą ucieczkę — zapytał bosonogi obywatel.

— Około trzech lat ciężkiego więzienia, poprzednio kilkadziesiąt knutów — objaśnił urzędnik.

— Starowina tego nie przetrzyma — zauważył jeden z Tatarów.

— To zdechnie — zakonkludował młody kupiec.

— Panowie, wódeczki po kieliszku, to nam doda rozumu przy sądzeniu — rzekł inny z kupców, wyjmując butelkę i kieliszek z wiszącego palta.

— Wypijemy z ochotą — powiedział milczący dotąd drugi urzędnik — ale taka sprawa do sądzenia rozumu nie potrzebuje.

— Bo wy zawsze obchodzicie się bez niego — wtrącił Tatar.

Kieliszek dosyć dużych rozmiarów, podawany z rąk do rąk, obszedł przysięgłych; nie przyjmowali udziału w libacyi Tatarzy, którym, jako mahometom, religia zabrania używania trunków.

— Nie traćmy czasu, panowie — rozpoczął starszyna — dzisiaj czeka nas jeszcze kilka spraw. Co do

pierwszego pytania, to mojem zdaniem, nie może być żadnej wątpliwości, bo sam obwiniony przyznał się do ucieczki.

— Tak, naturalnie — odezwało się kilka głosów.

— Pozostaje drugie pytanie o okolicznościach łagodzących; tutaj może powstać różnica zdań, ja nie chcę narzucać panom moich przekonań.

— Starowina, nim go dowloką do Tiumenia, Bogu ducha odda — rzekł znowu bosonogi obywatel.

— Chyba dyabłu — wtrącił młody kupiec.

— Ja jestem zdania — ciągnął poprzedni — aby mu dać okoliczności łagodzące, pogodzimy sprawiedliwość carską z miłosierdziem ludzkiem.

— Tak, za to, że hardzo prowadził się w sądzie, zuchwale odpowiadał panu prokuratorowi, za to okoliczności łagodzące — mówił energicznie urzędnik.

— Poddamy się szczegółowemu głosowaniu — zakonkludował starszyna.

Przy głosowaniu okazało się, że trzej Tatarzy nie przyłączyli się do większości i na pierwsze pytanie odpowiedzieli przecząco, uznając Kowalskiego niewinnym. Jeden z kupców zauważył na to:

— Nic dziwnego, przestępca nieprawosławny, a oni bisurmani, to wspierają się razem.

— Nie to — rzekł stary Tatar — nasza wiara inna, a jego inna, ale co on zrobił złego, chciał wrócić między swoich, nikogo nie okradł, nikomu krzywdy nie uczynił; tutaj są ludzie, co kradną i oszukują, a nikt ich pod sąd nie oddaje, swobodnie chodzą po mieście.

Jan Kowalski większością dziewięciu głosów został uznany winnym, ośmioma odrzucono okoliczności łagodzące. Trybunał na zasadzie orzeczenia ławy przysięgłych skazał nieszczęśliwego na trzy lata więzienia oraz pięćdziesiąt knutów. Kara cielesna istnieje po obecną chwilę w Rosyi dla przestępców pozbawionych już poprzednio

praw stanu, przy popełnieniu przez nich nowych przewinień.

Kowalski blady, wysłuchał wyroku ze spuszczoną głową.

VII.

Adam zmuszonym był prezydować do końca sesyi, która w tym dniu przeciągnęła się do późnego wieczora; zaledwie wysiłkiem woli utrzymywał przytomność umysłu, w uszach brzmiały mu nieustannie słowa skazańca: »kto zmienia wiarę i narodowość, zasługuje na miano nikczemnika«. Oczekiwał końca rozpraw z niecierpliwością leniwego ucznia, wyglądającego dzwonka, głoszącego zakończenie lekcyi. Był prawie pewny, że w całym sądzie nikt nie wie o niedawnem przyjęciu przez niego prawosławia, a jednak niewinne słowa starca paliły go jak wymierzony w twarz policzek.

Gdy znalazł się w domu sam z sobą, zrozumiał odrazu, że chwilowy spokój i równowaga, spowodowane zmianą miejsca i nowem otoczeniem, runęły bezpowrotnie. Przywykły do logicznego myślenia, starał się przedewszystkiem opanować nurtujące go wzburzenie, aby następnie przejść dopiero do krytycznego przeglądu zaszłego zdarzenia, oraz oceny stosunku, w jakim jego osoba do tego ostatniego pozostaje. Przeszły długie chwile, zanim myśli swoje zdołał doprowadzić do możebnego ładu. Uspakajał samego siebie uświadomieniem faktu, że w danym razie grał rolę zbieg okoliczności, ślepy traf, a tylko on, wskutek rozdrażnienia nerwowego i zachwianej równowagi sądu, wywołanej zajściami przeszłości, przyjmuje wypadkowe zdarzenia za strzał, skierowany przeciwko sobie. Przecież Kowalski nie mógł znać historyi jego życia, samo przypuszczenie czegoś podobnego okazuje się w zasadzie nieprawdopodobnem; z dru-

giej zaś strony, gdyby nawet był świadomy polskiego pochodzenia Adama, poruszanie podobnej kwestyi przez nieszczęśliwego wygnańca podczas rozprawy sądowej, mijałoby się wprost z jego interesem; i to również jest niedopuszczalne.

Piasecki w obecnej chwili dalekim był od poddawania krytyce czynów własnych, pragnął tylko jasno zoryentować się w sytuacyi, uspokoić siebie samego, oraz zdefiniować postać osądzonego, która bezwiednie sprawiła mu tak nieprzyjemną niespodziankę. Rozpoczął bieg myśli od ostatniego zadania. W sądzie o Kowalskim zdawało mu się, że stoi na stanowisku ogólno ludzkiem, usuwając na stronę wązko-narodowy punkt widzenia. Z tego stanowiska wyrok na niego wydany uznał za niesprawiedliwy; osądzony nie wyrządził społeczeństwu żadnej krzywdy, tymczasem ostatnie nietylko stargało całą długoletnią jego egzystencyę, ale pastwiło się nad bezbronnym w wigilię jego śmierci z okrucieństwem dzikiego zwierzęcia. Tak więc na samym początku chłodnego rozumowania doszedł do dwóch konkretnych wniosków: Kowalski nie miał zamiaru obrażania go, oraz wyrok wydany na skazańca jest niesprawiedliwy. Obydwie konkluzye w istocie rzeczy nie wychodziły na korzyść Adama: są więc w głębi jego duchowego wnętrza drażliwe miejsca, których on sam dotąd nie dotykał, miejsca tak czułe jednak, że za samem zbliżeniem się do nich, gotowe zaraz zamieniać się w palące rany; dowodem całkiem przypadkowym obraza, zadana mu przez obwinionego. Po raz pierwszy w tej chwili nasunęła mu się myśl, czy przyjęcie przez niego prawosławia nie było błędem z jego strony; dlaczego krok ten ukrywał przed wszystkimi, dlaczego odsuwał od siebie nawet wspomnienie własnowolnie dokonanego czynu, wreszcie z jakiego powodu słowa Kowalskiego, nie mające w intencyi mówiącego żadnego związku z jego osobą, w pierw-

szym momencie uczuł jak policzek jemu wymierzony. Gdyby pozostawał w zupełnej harmonii z samym sobą, jedne z powyższych faktów nie miałyby zupełnie miejsca, pozostałe występowałyby w odmiennem oświetleniu. Wszak i w chwili obecnej sam zwrot myśli ku temu przedmiotowi wyrządza mu niewymowną przykrość. Powodowany instynktem egoizmu przeszedł do krytycznej analizy drugiego wniosku, niesłusznego osądzenia Kowalskiego; lecz i tutaj rezultat bezstronnego rozumowania nie wypadł na jego korzyść. Niesprawiedliwemu sądowi on przewodniczył, więc lwią część moralnej odpowiedzialności powinien włożyć na samego siebie. Prawda, to sąd z udziałem przysięgłych, ale przecież z tyloletniego doświadczenia znał doskonale rzeczywistą wartość tego niepotrzebnego balastu, tego przedwczesnego kwiatka cywilizacyi na śnieżnych jeszcze polach Rosyi. Prokurator ujął nieinteligentnych kupców i chłopów paru zręcznymi frazesami, a jego suche i bezbarwne przemówienie przeszło bez wrażenia. Werdykt uniewinniający nie mógł powrócić Kowalskiego do Polski, którą tak pragnął zobaczyć przed śmiercią, ale chronił go od knutów i więzienia, czego nie przeżyje na pewno! Tak więc i na tym punkcie Adam wobec samego siebie nie mógł się uznać bezwinnym.

Cały szereg powyższych roztrząśnień i wniosków nie był dziełem jednej godziny ani kilku nawet; parę dni Adam pozostawał pod wrażeniem sprawy Kowalskiego, a wrażenie to zamiast słabnąć, potęgowało się coraz silniej, podniecane nieustającą pracą myśli, odejmowało mu sen, wprowadzało w stan rozdrażnienia nerwowego, jakiego dotąd nie przeżywał, a które napróżno opanować się starał.

Nie przestając dręczyć siebie powtarzającemi się co chwila powyższemi myślami, przechodził następnie do oceny osoby i życia Kowalskiego. Daleki od stano-

wiska i punktu widzenia narodowego, nie mógł jednak odmówić mu wysokiej wartości moralnej. Z twarzy i ze słów nieszczęśliwego widniała inteligencya, której nieszczęśliwiec ten nie zdołał zatracić w ciągu wygnania i niewoli długich lat. Godząc się lub nie godząc na cel, jaki dla siebie Kowalski postawił, musiał Adam przyznać, że cel ten nie miał nic wspólnego z egoizmem osobistym, że człowiek ten żył dla idei i dla niej wszystko poświęcił; to nie bohater, podniecony chwilową ekstazą, padający śmiercią na polu walki; wyższy on nieskończenie: to męczennik niosący dobrowolnie w ofierze dla swojego ideału nędzę długiego życia, więzienia, poniewierki, jak Chrystus, pluty i biczowany za miłość drugich ludzi. Adam czuł wstyd i upokorzenie, porównywając własną osobę i własne życie z tym nędzarzem w aresztanckiem ubraniu. Od pierwszych chwil przyjścia do samowiedzy umysłowej kroczył pod sztandarem najgrubszego egoizmu, coraz wyższa posada z coraz większą pensyą była celem jego życia; ożenienie z ładną i bogatą kupcówną wymarzonem szczęściem, dla którego targał ostatnie węzły, łączące go z przeszłością. Co z tego, że myśli swe pozornie chował czyste, że za pomocą zręcznej sofistyki wmawiał w siebie uczciwość, i ostatecznie stał wyżej od... bydła ludzkiego; ale gdzie ideał, co przyświecałby jego życiu, gdzie zaparcie własnego ja wobec interesów ogólnych, dobra i szczęścia innych ludzi. Tak nizko stoi pod względem rozwoju uczuć etycznych, że dotąd nie znał innych bolów i cierpień, jak tylko te, które drażniły wygórowaną jego miłość własną; nieszczęścia ludzkie przesuwały się bez śladu po jego wychłodzonem sędziowskiem sumieniu.

Po kilkudniowych takich rozmyślaniach, długiej walce z samym sobą, Adam ostatecznie stargał skrupuły, krępujące go wobec poczucia obowiązku państwowego i postanowił przyjść z pomocą nieszczęśliwemu

starcowi. Pod wpływem spowiedzi z całego życia przed samym sobą, lepsza, szlachetniejsza część natury ludzkiej opanowała w nim urzędnika rosyjskiego; czyn, jaki zamierzał dokonać, uważał za akt skruchy i pokuty za grzechy dotychczasowego życia. Nie chodziło tu o półśrodki; uznawszy raz Kowalskiego niewinnym, Adam zdecydował się naprawić omyłkę, dopuszczoną przez sąd, któremu przewodniczył, i obdarzyć skazańca swobodą oraz widokiem przed śmiercią — ojczyzny, którą ten stary tak bardzo ukochał.

Pragnąc doprowadzić do skutku powzięty zamiar, zastanawiał się Adam głęboko nad środkami, prowadzącymi ku temu. Wobec stanowiska i znaczenia, jakie zajmował w hierarchii sądowniczej, ułatwienie i przeprowadzenie ucieczki z więzienia nie należało do rzeczy niewykonalnych; pomijając jednak pewną ryzykowność przedsięwzięcia, zależnego w każdym razie od nieprzewidzianych okoliczności, przedstawiało ono inne jeszcze ujemne strony. Przedewszystkiem nie można było mieć pewności, czy zbiegły w następstwie nie zostanie schwytanym, a wtedy los jego uległby znacznemu pogorszeniu; nie było również w tym wypadku sposobu uchronienia od kary dozorców i straży więziennej, odpowiedzialnych dość surowo za ucieczkę każdego więźnia. Ostatni motyw był rozstrzygającym, to też Adam postanowił uciec się do innego środka. Podczas godzin biurowych zgromadził kilka ważnych interesów, co do których przed ostateczną decyzyą pragnął porozumieć się z prokuratorem i zabrawszy odnośne papiery, udał się do gabinetu tego ostatniego; stanowiska dwóch dygnitarzy w sądzie były równe, lecz ponieważ ludzi tych nie łączył bliższy stosunek zażyłości towarzyskiej, pozostawali na stopie tylko etykietalnej. Prokurator, ujrzawszy wchodzącego do siebie Piaseckiego, zerwał się na jego powitanie, usadził w fotelu, zasypując grzecznościa-

mi. Rozmowa o sprawach czysto urzędowych zajęła blizko godzinę czasu, o co właśnie Adam starał się usilnie, pragnąc zamaskować istotny cel swoich odwiedzin. Po ukończonej oficyalnej dyspucie, udając zręcznie, że zamierza już się oddalić, rzekł powstawszy z fotelu.

— Odebrałem dzisiaj rano list z Petersburga, z którego jestem mocno niezadowolony; czy należy żądać od człowieka rzeczy prawie niemożebnych, stawiać go w drażliwem położeniu?!

Każdy prokurator w Rosyi jest tylko w istocie rzeczy wyższym gatunkiem urzędnika policyjnego i jako taki, posiada zmysł ciekawości silnie rozwinięty; o potrącenie tej słabej struny chodziło właśnie Adamowi, który ciągnął dalej, wyjmując jednocześnie kopertę z kieszeni.

— Powiedziawszy prawdę, Anatoli Stiepanowicz, pisze do mnie moja protektorka, której wiele zawdzięczam i której nie chciałbym nic odmówić, z drugiej strony przecież ja sam nie decyduję.

Wyraz ciekawości coraz dobitniej rysował się na twarzy prokuratora, delikatność nie pozwalała mu jednak na stawianie pytań, rzekł tylko:

— Jeżeli w kwestyi tej moja osoba może odegrać jakąkolwiek rolę, jestem gotów do koleżeńskiej usługi.

Oblicze Adama udało w tej chwili dobrze udane zaambarasowanie.

— Jeżeli pan pozwolisz, poproszę o koleżeńską radę, powiedział.

— Ależ proszę, bardzo proszę, Adamie Osipowiczu — odparł prokurator i podsunął mu znowu fotel.

Adam usiadł i ciągnął dalej.

— Pan sobie przypominasz zapewne sądzoną przez nas przed kilkoma dniami sprawę włóczęgi Kowalskiego.

— Ależ doskonale, ten nieszkodliwy polski utopista, pragnący jedynie umrzeć na własnej ziemi, rzekł oskar-

życiel wbrew swoim słowom publicznym, uśmiechnąwszy się dobrodusznie.

— Otóż właśnie — ciągnął Adam, trzymając w ręku improwizowaną kopertę — protektorka moja występuje ze wstawiennictwem za nim.

— Przecież nie mogliśmy go uwolnić.

— Ona żąda odemnie czego innego zupełnie.

— Mianowicie, jeśli można wiedzieć.

— »Proszę bardzo, pisze do mnie — mówił Adam, wyjmując list z koperty, ale go nie rozwijając — aby Pan wpłynął na czasowe zwolnienie go za kaucyą przed uprawomocnieniem wyroku«. W głowę zachodzę jak podobny żebrak mógł trafić do sfer podobnie wysokich.

— Przypuszczałem, że pańska protektorka żąda rzeczy zupełnie niemożebnych.

— Ale pan mnie chyba rozumie, Anatoli Stiepanowiczu, ja panu zwierzam się w zaufaniu, wszak nie mogę prowadzić w sądzie propagandy na korzyść wichrzyciela.

— Adamie Osipowiczu, robisz pan wielkie rzeczy z małych; przecież to nieszkodliwy starzec; żąda tego pańska protektorka, ja staję po jej stronie.

O więcej Adamowi nie chodziło; unikając przeprowadzenia ucieczki Kowalskiego, postanowił wyrobić czasowe uwolnienie go z więzienia do chwili uprawomocnienia wyroku; w zwyczajnych warunkach byłoby to rzeczą prawie niemożebną; w Rosyi jednakże wyższy urzędnik w swojem biurze może przeprowadzać nieprawdopodobne sprawy, zwłaszcza jeśli umiejętnie bierze się do rzeczy. Jedyną trudność w danym wypadku mogła stanowić opozycya prokuratora; Piasecki podszedł go jednak wzmianką o nieistniejącym liście fikcyjnej protektorki; obecnie mając za sobą oskarżyciela publicznego, prawie nie wątpił o pomyślnym rezultacie. Pozostawała kwestya wysokości kaucyi, ale na tym

punkcie liczył na swój głos w sądzie a zresztą był zdecydowanym poświęcić na ten cel cały nawet zaoszczędzony swój kapitał. Pierwsze powodzenie dodało mu otuchy do dalszej pracy nad rozpoczętem dziełem, a świadomość o etycznej wartości przedsięwzięcia stanowiła nietylko bodziec, ale zarazem działała ożywczo na wewnętrzny jego nastrój, potrzebujący podniety po ujemnych wpływach, wywołanych zdarzeniami niedawnej przeszłości.

Obecnie należało porozumieć się z Kowalskim, gdyż inaczej nie sposób było działać w jego imieniu, więzień nadto obowiązany był podpisać i podać od siebie odnośne podanie. Sam fakt zajścia do więzienia nie zwracał na siebie uwagi i nie krępował zupełnie Adama, gdyż wyżsi dygnitarze sądowi w interesach urzędowych często są zmuszani do podobnych odwiedzin. Lecz za to niepomierne było zdziwienie Kowalskiego, gdy przywołany do kancelaryi więziennej znalazł się sam na sam z sędzią, który przewodniczył trybunałowi w jego sprawie. Starzec ten, widziany zblizka, jeszcze boleśniejsze sprawiał wrażenie; w sądzie pod wpływem chwilowego podniecenia, wywołanego stanowczością chwili, ujawniał energię; obecnie, wobec zdecydowanego już losu, wyczerpany, przybity, bezsilny, budził uczucie litości. Podszedł do oczekującego na niego Adama i utkwił w niego wzrok, w którym tylko zdziwienie można było wyczytać. Adam przemówił do niego po rosyjsku.

— Podczas sprawy pańskiej, której przewodniczyłem, obudziłeś pan we mnie zainteresowanie, chcę panu być pomocnym.

Starzec patrzał na mówiącego z większem jeszcze zdziwieniem i stał milczący.

— Położenie pańskie jest bardzo przykre, ale nie trzeba tracić nadziei; da Bóg, wszystko zmieni się na lepsze.

— Kto pana do mnie przysyła — rzekł więzień na wpół przytomny.

— Sumienie — odrzekł Adam.

Nastąpiła chwila milczenia, po małej przerwie Adam ciągnął dalej.

— Powtarzam, chcę panu być pomocny, ale przestrzegam, że o tem, oprócz nas dwóch, nikt więcej wiedzieć nie powinien.

Kowalski, jakby oszołomiony tem co słyszy, stał niemy, patrząc ciągle na nieoczekiwanego zbawcę.

— W sprawie pańskiej założonym zostanie rekurs kasacyjny; w tym celu rekurs ten i podanie do naszego sądu o tymczasowe zwolnienie z pod straży, przedłożą panu w kancelaryi więziennej do podpisania, co należy bezwarunkowo uczynić; gdyby ktokolwiek pytał się o treść obecnej naszej rozmowy, proszę mówić, że przeprowadzałem osobiście protokół odnośnie do pobytu na Syberyi. Proszę być spokojnym, lepsza przyszłość niezadługo nastąpi.

Adam chciał odejść; w jednej chwili starzec znalazł się u nóg jego, łzy płynęły mu z oczów.

— Panie — rzekł — czterdzieści lat nikt tak do mnie nie mówił, jak ty dzisiaj, i ja myślałem, że już takich ludzi niema na świecie.

Chwycił za rękę Adama i chciał ją do ust swoich przyciągnąć, lecz on usunął się lekko i rzekł po polsku.

— Do widzenia na swobodzie, a proszę nikomu nie mówić.

I wyszedł. Kowalski pozostał sam, myślał chwilę, że to wszystko snem może. Dopiero proza codziennego życia przyprowadziła go do przytomności.

Mając za sobą prokuratora, Piasecki przeprowadził bez trudu uwolnienie więźnia za kaucyą; wotanci, widząc zainteresowanie prezydującego w tej sprawie, nie stawili najmniejszych przeszkód; zaprojektowana przez osta-

tniego wysokość kaucyi na 300 rubli została przyjętą; pieniądze te wniósł Adam z własnej kieszeni. Nie chcąc i nie mogąc osobiście figurować przy przeprowadzeniu wszystkich pojedynczych szczegółów całej sprawy, znalazł on wielkie wyręczenie w wypróbowanej wierności i uczciwości służącym swoim, który lat kilkanaście przebywał u niego w służbie i posiadał najzupełniejsze zaufanie swojego chlebodawcy. Iwan więc wypełniał skwapliwie i rozsądnie wszystkie zlecenia odnośnie do osoby Kowalskiego; podczas uwolnienia ostatniego, wynajął dla niego małą stancyjkę w tatarskiej dzielnicy miasta, oczekiwał wypuszczonego na swobodę przed bramą więzienną, zaprowadził do nowej siedziby, zajął się kupnem koniecznego ubrania i bielizny, oraz z udzielonego przez Adama funduszu zaopatrzeniem koniecznych potrzeb jego życia. Uwolniony więzień w dziwnem znajdował się usposobieniu, jakby nie wierzył rzeczywistości lub bał się szczęścia, które go niespodziewanie spotkało; był niepewny siebie na każdym kroku, nieśmiały w obcowaniu z ludźmi; Iwana nieustannie uważał za swojego dobroczyńcę, chociaż ostatni nie przyjmował na siebie samozwańczej roli i na każdym kroku prostował omyłki Kowalskiego, przypominając mu, że jest tylko służącym tego, który spowodował uwolnienie jego z więzienia.

Pierwszego dnia późnym wieczorem Adam wybrał się odwiedzić zwolnionego, któremu brakło słów na wyrażenie uczuć wdzięczności; przybyły starał się go ośmielić traktowaniem na równi z sobą, silił się na mowę polską, która prawie zupełnie wyszła mu z użycia, posadził koło siebie i prowadził poufałą, ciepłą rozmowę, pod wpływem której wygnaniec powoli zaczął powracać do stanu normalnego. Za pierwszą bytnością Adam nie poruszał zupełnie planów przyszłości, jakie postanowił względem osoby Kowalskiego, oraz nie do-

puszczał go do spowiedzi z życia, chociaż ostatni ujawniał ku temu ochotę, unikając wszystkiego, co mogło wzruszyć lub rozrzewnić starca; miał na celu przedewszystkiem przywrócenie równowagi skołatanemu umysłowi nieszczęśliwego, na którego władze mózgowe gwałtowna zmiana położenia mogła oddziałać w sposób wprost zabójczy; wnet poznał, że metoda, jaką ku temu wybrał, okazała się praktyczną; Kowalski po niespełna godzinie był już zupełnie spokojny; pierwotne gwałtowne przejawy wdzięczności zamienił na normalne oznaki szacunku, przybrał ton mowy spokojny, tak że po dość długim pobycie Adam pożegnał starca zupełnie innym, niż zastał go w chwili przybycia.

Odtąd rozpoczęły się codzienne wieczorne odwiedziny w domu położonym w odległej dzielnicy tatarskiej; dwaj ludzie, pozostający na przeciwległych krańcach położenia społecznego, kierunków działalności, pojęć i poglądów, wieku i form towarzyskich, zaczęli bratać się z sobą wskutek tajemniczej siły. Wyradzająca się pomiędzy nimi harmonia działała ożywczo na obydwie niepodobne do siebie natury w różny zupełnie sposób. Starzec, znękany nieszczęściami całego życia, widział w Adamie postać jasną, jakby zesłańca nieba, który z pochodnią światła zaszedł mu drogę i rozjaśnił ją — tę drogę tak strasznie ciemną do przebycia po ostatnią chwilę; spoglądał w niego z miłością i uwielbieniem, jak w oblicze anioła pocieszyciela. Adam odnalazł w Kowalskim częściowe zapełnienie nieświadomie odczuwanych braków i luk w życiu; odbierał wrażenie, jak gdyby przepaść, na krawędzi której stał dotąd, zaczęto ogradzać baryerą; niekiedy znowu głos Kowalskiego wydawał mu się, niegdyś — bardzo dawno, znanym, w dzieciństwie a może wcześniej jeszcze, a następnie długie, długie lata niesłyszanym zupełnie; to znowu podobnym do szeptów, które niekiedy w sennych marzeniach ucho jego na-

wiedzały. Starzec ten, sam nie zawsze spokojny, wprowadzał w duszę jego spokój, w myśl porządek, w życie jakiś cel.

W ciągu długich rozmów, prowadzonych wyłącznie po polsku, nie obeszło się naturalnie bez wspomnień z twardej przeszłości wygnańca. Adam po raz pierwszy słyszał żywe słowa miłości dawnej własnej ojczyzny, patrzał na człowieka, który życie całe złożył w ofierze tej miłości. Pomimo starganych sił i starości podziwiał w Kowalskim inteligencyę, jasność sądu, bezstronność i sprawiedliwość w poglądach; podziw i szacunek dla niego wzrastały z każdym dniem w duszy Piaseckiego. Przejścia i cierpienia tego męczennika można było rozłożyć na dziesięciu, a jeszcze nie każdy z nich zdołałby krzyż swój udźwignąć; a jednak człowiek ten znosił wszystko nie tylko bez cienia celów egoistycznych, ale nawet bez żądzy sławy i odznaczenia się; w stepach sybirskich nie prowadził pamiętnika, skarg nie dzielił dotąd z przyjacielem, echo jęków jego nie dochodziło do ziemi ojczystej.

Niezniszczonem dotąd marzeniem Kowalskiego było w ciągu czterokrotnych nieudanych ucieczek dostanie się do Krakowa, dokąd zdołało dotrzeć szczęśliwie kilku jego towarzyszów niedoli; miasto to, które jak we śnie pamiętał niejasno ze wspomnień dzieciństwa, miało dla niego znaczenie ziemi obiecanej, którą chciał ujrzeć przed śmiercią. Myśli powyższe wypowiadał kilka razy wobec Adama, który zapamiętał dobrze intencye starca.

Przeszło około dwóch tygodni od dnia opuszczenia przez niego więzienia, gdy codzienny gość wieczorny przybył do domku w tatarskiej dzielnicy o zwykłej porze odwiedzin; tym razem jednak wizyta była ostatnią. Adam przyniósł Kowalskiemu formalny paszport zagraniczny, należycie zalegalizowany, na obce nazwisko, posiadający jednak rysopis zupełnie odpowiadający ze-

wnętrznemu jego wyglądowi. Starzec nie chciał wierzyć szczęściu własnemu, płakał z radości.

— Panie, mówił w ekstazie, tyś nie człowiek chyba, ja nie godzien jestem obcowania z tobą; ta nagroda wyżej zasług moich; czy ja mogłem marzyć, aby za życia nieba dostąpić.

Kowalski za radą Adama miał wyjechać nocnym pociągiem, kupując bilet do pierwszej stacyi krzyżowej; gdyby na tej przestrzeni został zapytanym o legitymacyę, miał wykazać się papierem własnym, jaki otrzymał od władzy miejscowej przy opuszczeniu więzienia; dalszą dopiero podróż winien odbywać pod cudzem nazwiskiem na zasadzie paszportu zagranicznego, zniszczywszy równocześnie dokument poprzedni. Nadto polecił mu Adam dla bezpieczeństwa ominąć granice Królestwa Polskiego i Podola, a udać się do Galicyi przez Rumunię, gdzie rygor paszportowy jest mniej ostry. Dostarczenie starcowi funduszu zupełnie wystarczającego na drogę i pierwsze chwile pobytu po przybyciu na miejsce przeznaczenia, stanowiło dopełnienie paszportu.

Niedawni, a jednak serdeczni przyjaciele pożegnali się w niemym uścisku; łzy spływały po obliczu starca. Adam ze zwieszoną głową wracał do domu; odbierał wrażenie, jak gdyby rozstał się z członkiem własnej rodziny.

VIII.

Po odjeździe Kowalskiego Adam czuł się dziwnie osamotnionym; w jego myślach nastąpił niebywały dotąd zwrot ku przeszłości, zabarwiony odcieniem sentymentalizmu. Przyzwyczajony czuwać nad samym sobą, dziwił się obecnemu własnemu nastrojowi, tembardziej że teraźniejszy stan łączył się z silniejszem niż poprzednio rozdrażnieniem nerwów. Zmiana nadto była charakterystyczną jedną jeszcze oryginalną cechą; zajęcia

biurowe nie tylko straciły do reszty dawniejszy urok, ale pomimo woli zaczął się od nich stopniowo usuwać w sposób niedostrzegalny dla otoczenia; dotąd cały czas urzędowania poświęcał bez przerwy pracy zawodowej, teraz udawał tylko zajęcie, a oddawał się w gabinecie biurowym własnym myślom lub czytaniu gazet, nie będąc naturalnie podpatrywanym przez nikogo. W związku ze stanem wewnętrznym tracił sen i apetyt, a nadto zewnętrzny jego wygląd ulegał gwałtownej niekorzystnej zmianie; chudł coraz bardziej, twarz przybierała cerę chorobliwą, często bez powodu czuł się zmęczony i osłabiony. Nie bardzo, co prawda, wierzył w skuteczność lekarstw, sądził jednak, że rozumny lekarz skuteczniej zdoła mu pomódz, niż własne jego spostrzeżenia nad samym sobą, trafne może zupełnie, pozbawione jednak wiedzy fachowej w kierunku sanacyi obecnego stanu. Nietylko bowiem dotąd nie odczuwał żadnego polepszenia, lecz przeciwnie rosnące osłabienie całego organizmu; wobec tego zdecydował się poradzić miejscowego lekarza Tarasowa, który, jako ekspert sądowy wywarł na niego inteligencyą swoją bardzo dodatnie wrażenie. Eskulap poddał Adama nadzwyczaj skrupulatnemu zbadaniu; zadawał liczne pytania oryentacyjne, nacechowane wysoką dyskrecyą, wreszcie przystąpił do konkluzyi.

— Jesteś pan, rzekł, w tem szczęśliwem jeszcze położeniu, że lekarstw żadnych w przyjętem znaczeniu tego słowa nie potrzebuję panu zapisywać. Gdybyś pan nie posłuchał mojej rady, wtedy dopiero po pewnym czasie musielibyśmy uciec się do tej smutnej konieczności. Czy służy panu prawo korzystania z urlopu.

Adam spojrzał nieco zdziwiony na lekarza.

— Zupełnie, nie korzystałem z urlopu całe lata.

— To bardzo dobrze; uwolnij się pan od zajęć na całe dwa miesiące. Wyjeżdżałeś pan już zagranicę.

— Dotąd jeszcze nie.

— Ależ wybornie, więc jedź pan zagranicę, to obecnie ordynuję. Pan potrzebujesz nie tylko oderwania się od zajęć, wypoczynku, ale co nie mniej ważnem, nowego otoczenia, świeżych silnych wrażeń, zapomnienia o większych czy mniejszych kłopotach, wśród których pan tu żyjesz obecnie. Nie wskazuję żadnych wód mineralnych; przy dotychczasowem systematycznem życiu nie znajduję również potrzeby wdrażania pana w jakieś specyalne zachowanie przepisów kuracyjnych; co najwyżej możesz się pan kąpać w morzu, i to, jeśli zechcesz. Zresztą czas urlopu przepędzaj pan według upodobania, byle za domem, z uwagą na ogólne przepisy hygieny.

Parę wskazówek dotyczących systemu odżywiania zakończyły niedługie badanie.

Tymczasem wieść o zniknięciu Kowalskiego powoli zaczęła rozchodzić się po mieście, wreszcie doszło do policyi, która ostatecznie fakt ten skonstatowała. Wysłano za nim w kilka dni dopiero listy gończe wraz z fotografią zbiega; wiadomość ta w sądzie nie wywarła silniejszego wrażenia, ponieważ nie uważano bezsilnego starca za niebezpiecznego przestępcę. Adam wobec zaszłego wypadku okazywał zupełną obojętność; prokurator raz rzekł do niego w toku prywatnej rozmowy:

— Pański protegowany umknął, to było do przewidzenia, zresztą nie jesteśmy stratni, niebezpieczeństwo jego osoby dla państwa nie przedstawiało wartości trzystu rubli.

Po pewnym czasie cała kwestya uległa zapomnieniu, nie wywołując żadnych niepożądanych następstw. Adam zajęty był projektem wyjazdu; ostateczna aprobata urlopu zagranicznego, zależna od decyzyi ministeryalnej, wymagała dni kilkunastu, które przeżywał w gorączkowem wyczekiwaniu; radę lekarza uznał za rozsą-

dną, dziwiąc się tylko, że poprzednio sam nie wpadł na pomysł podobny. Sprawa Kowalskiego nadwyrężyła niezbyt bogate jego oszczędności, w każdym jednak razie po podjęciu pensyi z góry rozporządzał kapitalikiem, wynoszącym przeszło półtora tysiąca rubli, którego trzecią część zamierzał w razie potrzeby użyć na koszta wyjazdu. Nie układał naprzód marszruty podróżnej, pozostawiając sobie zupełną swobodę kierunku; wreszcie po załatwieniu wszystkich formalności, znalazł się w wagonie, unoszącym go w obce, nieznane dotąd strony.

IX.

Olbrzymią przestrzeń od granic Azyi ku zachodowi Adam przebywał w wagonie pierwszej klasy, gdyż druga na dalekich przestrzeniach nie zapewnia w Rosyi należytej wygody podróżnemu; małe datki, udzielane zmieniającym się co pewien czas konduktorom, gwarantowały mu oddzielny przedział, w którym pozostawał sam jeden. Chwilowe ożywienie, jakiemu uległ podczas przygotowań do drogi i w momencie wyjazdu, minęły w ciągu kilkodniowej monotonnej podróży. Nieustanny widok jednostajnych płaszczyzn, rzadko uprawnych, leżących przeważnie odłogiem, zazwyczaj pokrytych karłowatymi krzakami, sprawiał dla oka nużące wrażenie, wywołujące odpowiedni nastrój wewnętrzny, zwłaszcza jeśli w duszy samego podróżującego nie wesoło. Po drodze miast ani wsi prawie nie widać, a jeśli stęskniony wzrok dojrzy niekiedy siedziby ludzkie, to są one rozrzucone na znacznej przestrzeni, nosząc wygląd bezdrzewnych, smutnych, zbiorowych pustelni. Jedyne urozmaicenie stanowią napotykane co pewien dłuższy czas większe, zazwyczaj krzyżowe stacye, posiadające obficie zaopatrzone bufety, na których pociągi osobowe dłużej się zatrzymują; ale te wszystkie stacye i bufety tak do siebie po-

dobne, tak pozbawione jakiegokolwiek urozmaicenia, że oko prędko znuży się i do nich przyzwyczai, aż wreszcie rażą szablonem swym i monotonnością.

Adam miał z sobą książki, których nie czytał; pragnął tedy napróżno rozerwać się widokiem z okna wagonu, wmawiał w siebie apetyt a za przybyciem na stacyę bufetową zostawiał rozpoczęte zaledwie potrawy, nieraz zupełnie smacznie przyrządzone. Próbował parę razy rozerwać się towarzystwem i przechodził w tym celu do wagonu salonowego, lecz rozpoczęte lub prowadzone już tam rozmowy raziły go czczością lub niesmakiem treści. Zmiana miejsca i otoczenia, wbrew przewidywaniom lekarskim, nie wprowadziła w nim żadnej zmiany.

Podczas ciepłych nocy letnich, które przepędzał bezsennie, trzymając zazwyczaj głowę w otwartem oknie wagonu, ze wzrokiem utkwionym w błyszczące gwiazdami niebo, badał samego siebie, zadawał sobie pytania, co mu jest, czego mu brakuje. Wszak ambicyi jego stało się zadość, zajmuje w średnim wieku życia stanowisko wysokie, którego zapewne niejeden mu zazdrości; stosunki materyalne, przy skromnych jego wymaganiach, nie pozostawiają również nic do życzenia — nietylko zaspakajają dostatnio potrzeby życia, ale starczą mu jeszcze niekiedy na opłacanie dosyć kosztownych fantazyi. Nie ożenił się wprawdzie z panną Morozow, lecz fakt ten stanowi tylko wygraną jego w życiu; dziewczyna przedstawiała materyał na żonę niewierną, wnet też wytłumaczył sobie miłość, zatem nie wzdycha i nie tęskni za nią — więc i na tym punkcie nie ma przyczyny do zgryzot i goryczy.

Cały jednak ciąg powyższych refleksyi przecinała odrazu coraz bardziej wzrastająca samowiedza bezcelowości życia, jasne uświadomienie zmarnowania dotychczasowych lat wraz z dobrowolną zatratą wszystkiego,

czem natura go obdarzyła. Zamiast piastowania i rozwijania w sobie uczuć altruistycznych — sadzenia, pielęgnowania i strzeżenia ręką czynną wysoko humanitarnych zasad, których teoretycznie tylko pozostawał wyznawcą, on swoje ja odgrodził murem chińskim od reszty istot ludzkich; chęci, pragnienia, wysiłki całego życia skierował tylko na budowanie własnej karyery, a dopiero po jej stworzeniu przekonał się o całej czczości tego zabiegu. Dzisiaj coraz ostrzej sterczy zbudzona w nim samowiedza źle spędzonego życia, które jednak w celach restytucyi nie da się już po raz drugi przeprowadzić; samowiedza ta właśnie dręczy go i prawie o rozpacz przyprawia.

Cztery doby zupełnej prawie bezsenności wyczerpały siły fizyczne Adama, piątej usnął w porze blizkiej rozpoczęcia dnia. Parogodzinny sen męczył go bezustannie zmieniającemi się widziadłami i nie przyniósł pożądanego pokrzepienia. Marzenia nasuwały mu coraz to nowe obrazy, na podobieństwo latarni czarnoksięskiej, wywołując w pamięci jego różnorodne epizody z dawno minionej przeszłości. Widział się młodym gimnazyalistą w petersburskim kościółku świętego Stanisława, klęczącym obok rodziców; podczas mszy płakał z nieokreślonego bliżej, ważnego powodu. Za chwilę marzenie przeniosło go do skromnego mieszkanka, w którym na ubogiem łożu konała siostrzyczka jego Helenka; pamięć śpiącego rysy jej odtworzyła z całą dokładnością, nadając jedynie twarzy tej wyraz zbyt łagodny. W nowym znów obrazie znalazł się na ulicy wielkiego, nieznanego miasta, idącym z panną Morozow jako z żoną; postępowali wśród ustawionego w dwóch rzędach nieskończonego szeregu oficerów, spoglądających na niego z nietajonym sarkazmem. Nakoniec w ostatniem sennem marzeniu, przedstawiającem się tak jasno i dobitnie jak rzeczywistość, powrócił znowu do domu rodziców, lecz

jako dorosły już mężczyzna; przebywał z rodziną w nieznanym obszernym pokoju za stołem jadalnym, gdy niespodziewanie wszedł Kowalski, jako stary i dobry znajomy obecnych; podczas powitania Adam odczuł nagle, że przed tym człowiekiem powinien skryć się ze wstydu z powodu popełnionego przez się hańbiącego czynu, o którym przybyły ma dowiedzieć się za chwilę; pod wpływem ostatniego nieprzyjaznego wrażenia zbudził się zmęczony a nie wypoczęty, z kroplami potu na czole.

Pogodny ranek letni owiał go świeżością, a przez otwarte okno wagonu Adam zobaczył inny zupełnie krajobraz: nieskończone zdawało się płaszczyzny ustąpiły miejsca terenowi falistemu; ziemia naokoło uprawna, często krajana na małe działki, sprawiała nieraz wrażenie szachownicy; gęsto rozsiane wioski odznaczały się zdala po dolinach kępami drzew, po nad któremi tu i owdzie sterczała dzwonnica kościelna; plant kolei przeżynał kilkakrotnie bity gościniec, ciągnący się jak biała wstążka, rozpostarta na tle polnej zieleni; małe laski brzozowe sprawiały wrażenie drzew przyodzianych świątecznie. Pociąg zatrzymał się na stacyi, Adam usłyszał naokoło siebie mowę polską.

Po obecną chwilę odbywał drogę bez ustalonego projektu co do kierunku całej podróży, postanowił jedynie wyjechać za granicę; Warszawa nie znajdowała się na prostej linii, zboczywszy nieco, mógł znaleźć się w niej, nie uczynił tego jednak, nie zastanawiając się nad powodami. Mowa polska jako język miejscowy była dla niego nowością, napotykaną po raz pierwszy; wychylony z okna wagonu, słuchał jej z całą uwagą, wyróżniając odcienia narzecza ludowego, język mieszczaństwa oraz mowę sfer inteligentnych. Znaczenia niektórych wyrazów nie rozumiał zupełnie, innych domyślał się tylko, w niemiących prędko musiał wsłuchiwać się z całą bacznością. Lecz postój był krótki i pociąg pomknął

dalej; odtąd na każdej stacyi znajdował się w oknie i słuchał polskiego języka. Pod wpływem tych dźwięków przyszła mu na pamięć postać starego Kowalskiego — i nagle powstała myśl skierowania drogi na Kraków. Ominął Warszawę, myślał w tej chwili, naprawi popełnioną omyłkę, odwiedzając dawniejszą stolicę Polski.

Przy zjawieniu się powyższej myśli jednocześnie wystąpiła inna, protestująca pierwszej. Przedsięwziął zagraniczną wycieczkę w celach odświeżenia i wzbogacenia umysłu widokami tryumfującej, współczesnej cywilizacyi; nie jest zaś szperaczem przeszłości, archeologiem, powołanym do rozkopywania gruzów minionej świetności. Nastąpił nowy przystanek, świeże dźwięki polskie, i Adam zadecydował ostatecznie zawadzić o blizki gród podwawelski. Właśnie koleją Iwangrodzką zbliżał się do stacyi Granicy i po przybyciu, zamiast wziąść bilet do Wiednia, kupił do niezbyt stąd oddalonego Krakowa.

Była godzina popołudniowa, gdy pociąg zdążał urozmaiconą doliną, wśród pól uprawnych, ku obcemu zupełnie dla niego miastu; po prawej stronie ciągnął się szereg wyniosłych wzgórz, pokrytych lasami, wśród których dość często sterczały odłamy skaliste, u dołu gęsto rozsiane wioski łączyły się alejami drzew, coraz częściej napotykane wille zapowiadały zbliżanie się większej siedziby ludzkiej; cała okolica tchnęła pełnią życia na tle uroczego krajobrazu natury. Adam wmawiał w siebie spokój, a jednak pozostawał w dziwnym, gorączkowym nastroju; w samotnym przedziale co chwila przechadzał się od jednego okna do drugiego, śledząc bacznie szczegóły przejeżdżanych miejscowości, wreszcie zainteresowanie jego wzrosło do najwyższego napięcia, gdy na krańcach horyzontu ujrzał wyłaniające się z za wzgórza dziesiątki wież kościelnych. Chwila, a ocucił się w mieście, o istnieniu którego myślał dotąd niewiele.

Parę godzin pozostałych do zmierzchu wieczornego przepędził na powierzchownem zwiedzaniu ulic i placów, po których błądził bezcelowo. Oko jego przywykłe do szablonowych budowli miast rosyjskich, uderzała nowość na każdym punkcie; fantastyczne kształty gotyku znał dotąd jedynie z rysunków; miast noszących na sobie cechy długowiekowej cywilizacyi nie widział dotąd zupełnie. Na tle zaś tego wszystkiego biła go w oczy na każdym kroku narodowość, do której niegdyś i on należał, wymierająca według jego dotychczasowych pojęć cicho w rozproszeniu, aż oto nagle powstała przed nim pełna życia i żywej mowy. Pierwsze wrażenia wprowadzały w myśli jego chaos, burzyły gruntowane dziesiątkami lat sądy i przekonania, stawiały całą jego wewnętrzną istotę na rozdrożu.

Wszedł w wązki, ale długo ciągnący się park, bezpośrednio łączący się z ulicami, a jednak utrzymany z niezwykłą starannością; i tutaj uderzyło go nowe zupełnie zjawisko: alejami snuły się olbrzymie tłumy, pomimo dnia powszedniego, odświętnie ubrane; Adam nie umiał wprost rozwiązać sobie pytania, skąd tak niewielkie stosunkowo miasto zgrupować może taką ilość doborowej publiczności, na jaką prawie dwadzieścia razy większy Petersburg nie zawsze się zdobyć może.

Zamierzając parę dni tylko zabawić w Krakowie, postanowił dzisiejszy wieczór przepędzić w teatrze. Zachwycony całością budynku, pragnął odwlec rozpoczęcie przedstawienia, nie mogąc dosyć nasycić się widokiem zasłony. Język polski znał z dzieciństwa, ale kaleczony złą wymową i rusycyzmami; następnie długie lata rzadko z nim się spotykał, publicznie aż po obecną chwilę ani razu nie słyszał jego dźwięków. Wystawiano jeden z fantastycznych dramatów Słowackiego, który Piasecki znał tylko z nazwiska. Wykształcony umysł i wrażliwa na piękno natura Adama zdolne były pojąć

i zrozumieć skarby uczuć i poezyi, rozrzucone hojną ręką wielkiego mistrza słowa. Rozkoszne te dźwięki mowy polskiej, pieściły jego ucho harmonią słów cudownych, budziły w myśli dawno minione obrazy dziecięcej, szczęśliwej przeszłości, odzywały się długiem, przeciągłem echem w jego pamięci.

Wyszedł z teatru spokojny i rozrzewniony; analiza własnego nastroju ustąpiła w tej chwili miejsca poczuciu błogości, bole i cierpienia egoistyczne umilkły, niebywałe zadowolenie zagościło w jego duszy. Wolno krocząc po pustych prawie ulicach na wpół śpiącego już miasta, doszedł do rynku głównego. Na tle pogodnej, księżycowej nocy rysowały się jasno kontury nagromadzonych tutaj monumentalnych budowli, naokoło panowały cisza i spokój; samotny, zadumany błądził jak cień wśród wiekowych pamiątek. Nagle usłyszał w oddaleniu uderzenia zegaru, głoszącego śpiącemu miastu opóźnioną porę; po nim inny, bliższy powtarzał tąż samą godzinę, po umilknięciu ostatniego trzeci, wreszcie z poblizkiej wieży rozbrzmiał głos trąbki melodyą średniowiecznego hejnału; tony drgały w powietrzu tęsknie i rzewnie a cisza nocy roznosiła je daleko. Ten nieoczekiwany, oryginalny koncert zegarów, zakończony charakterystycznym finałem, nasunął umysłowi Adama dzieje starego grodu, minioną świetność państwa, dzisiejsze losy narodu; lecz w tejże samej chwili przyszedł mu na myśl jego osobisty stosunek do ostatniego i czar prysnął w mgnieniu oka; jasność ustąpiła miejsce ciemnościom, ze zwieszoną głową skierował kroki do hotelu.

Parę dni następnych poświęcił zwiedzaniu miasta: bogato nagromadzonych pamiątek; starał się przybrać wygląd przeciętnego turysty, obojętnego obserwatora, ale było to niczem więcej, jak tylko maską zewnętrzną, kryjącą pod sobą nieoczekiwany podziw, gorzkie wyrzuty, oraz poniżające upokorzenie. Na każdym kroku

napotykał fakty, uderzające siłą przekonywającą, które nietylko druzgotały doszczętnie jego zasady i teorye, ale jednocześnie wypalały piętno hańby na własnej jego przeszłości. Powoli otwierały mu się oczy na błędne koło, wśród którego prowadził dotąd parodyę życia, na sztuczny mur, zasłaniający po obecną chwilę przed nim widoki szerokich horyzontów, na ubóstwo wreszcie własnego umysłu, niezdolnego wznieść się nad ciemnotę i fałsz otoczenia. Pod wpływem tego samowiedza jego intelligencyi karłowaciała, dotychczasowe przeświadczenie o własnej uczciwości wyradzało się w palące uczucie wstydu wobec samego siebie.

Adam nie tylko zwiedzał pamiątki przeszłości, starożytne świątynie, muzea i galerye, ale zwracał baczną uwagę na objawy życia współczesnego i na tym punkcie doznawał najsilniejszego wrażenia. Obok wiekowych budowli widział świeżo wzniesione kosztowne gmachy, poświęcone celom publicznym i narodowym, powstałe nietylko szczodrą dłonią magnatów, ale i wdowim groszem maluczkich; patrzył na różnych form ofiary, składane na ołtarzu miłości ojczyzny, przez Polaków wszystkich krajów i stron świata; spotykał przybyszów z dalekich miejsc, ze łzą w oku i drżących ze wzruszenia na widok pamiątek narodowych. A wszystkich, miejscowych i przybyłych ożywiał jeden duch wspólny, łączyła jedna wiara silna i niezachwiana! zmartwychwstanie ojczyzny!!

Wśród męczącej walki wewnętrznej, nie posiadał odpowiednich sił do natychmiastowego zerwania ogniw łańcucha, wiążącego go z długim szeregiem dni przeżytych; w chwilach reakcyi umysłowej silił się na krytyczny skalpel wobec opanowujących go nowych prądów. Lecz i wtedy w napotykanych objawach życia miejscowego nie zdołał odnaleźć śladów szowinizmu, dekoracyjnej zabawy lub zamaskowanego płaszczem obłudy interesu osobistego. Strona uczuciowa, oparta na wierze

religijnej w sprawiedliwość dziejową stanowiła jedynie tło do mrówczej, szlachetnej i rozumnej pracy, w której Adam odróżniał dwa samodzielne kierunki: z jednej strony budzenie i pielęgnowanie ducha narodowego wśród poćwiertowanej politycznie, ciemiężonej moralnie i materyalnie ludności; z drugiej zaś nieustanną pieczę o utrzymanie całości narodu na współczesnym poziomie cywilizacyjnym. Zwiedzał instytucye naukowe, liczne stowarzyszenia, funkcyonujące w pełni rozwoju o własnych jedynie siłach, wówczas gdy podobne w innych krajach zawdzięczają byt swój hojnym datkom państwowym. Adam napróżno silił się na odnalezienie ujemnych stron w całości obrazu; nie mógł na nie natrafić.

Wśród bezsennych nocy lub podczas samotnych wycieczek w urocze podmiejskie okolice silił skołatany umysł na wynalezienie drogi przed sobą. Całość otrzymanych w ostatnim czasie wrażeń, natłok nowych zupełnie, nieznanych dotąd myśli, stawiały go w strasznej sprzeczności z dotychczasowemi przekonaniami. Szukał punktu wyjścia, nici przewodniej, pytał się o nie własnego rozumu, w siłę którego wierzył do niedawna. Od ławki uniwersyteckiej wymazał z rachunków własnych pojęcie narodowości, a dzisiaj pada zdruzgotany jej potęgą. Wolno, bardzo wolno rodziła się w jego głowie myśl jedna; z początku była niepewnym ognikiem, drgała drobną iskierką, lecz rosła stale, stopniowo zmieniając się w światło. »Tak — sądził — niepodlega najmniejszej wątpliwości, że zaprzepaszczenie w nim poczucia narodowego jest wynikiem edukacyi rosyjskiej, wpływów i kierunków, jakim bezustannie od dziecka podlegał, a które nie pozwalały na rozbudzenie w nim iskierki ducha polskiego. Biedni, prości jego rodzice, przygnieceni walką o byt, nie byli w stanie skierować umysł jego dziecięcy ku temu celowi; szkoła średnia, obca duchem, nie zdziałała nic na tem polu, uniwersytet sta-

wiał luźne i nieokreślone ideały wszechludzkości, nieziszczalne przy obecnym porządku świata. Szedł w życiu samotny, bez rodziny i narodowości, aż wreszcie ukochał samego siebie; ta miłość grzeszna zrodziła nietylko pustkę i bezcelowość życia, ale pchnęła go nawet ku zbrodni odstępstwa«.

Pobyt w Krakowie przeciągał się znacznie dłużej, niż Adam projektował pierwotnie; dokonywana w nim metamorfoza wewnętrzna pochłaniała całą jego istotę; nie były to przelotne wrażenia, ale długi szereg potężnych wpływów, które przeradzały człowieka. Polska, o której dotąd prawie nie myślał, przedstawiała mu się obecnie jako siła duchowa i moralna, pod tchnieniem której duch jego prostował się i rósł. Widział całą karłowatość własnej przeszłości, zgniliznę stosunków, wśród których dotąd przebywał; dreszcz obrzydzenia przejmował go na wspomnienie przekupstwa organów publicznych, rozalkoholizowanie całego prawie narodu, demoralizacyę licznych sfer społeczeństwa, do którego dotąd należał. Łącznie z budzeniem się w nim ducha narodowego jednoczesnym refleksem powstawała i wzmagała się w głębi jego istoty niechęć i nienawiść ku Rosyi; do stuletniej skargi rodaków o rozdarcie i kradzież ojczyzny, on dołączał swoją osobistą o zmarnowane życie dotychczasowe i doprowadzenie go do upadku moralnego.

Od samego przyjazdu do Krakowa przychodziła codziennie Adamowi na myśl sympatyczna postać starego Kowalskiego, który stosownie do powziętego projektu, powinien był znajdować się w tem mieście. Szczerze pragnął widzieć się z nim, krępował go jednak wzgląd, aby odwiedziny nie nosiły charakteru umyślnego nastręczania się na wylewy wdzięczności ze strony starca. Po głębszem zastanowieniu uznał skrupuł ten za niewytrzymujący krytyki i przedsięwziął starania w celu od-

nalezienia biedaka; okazało się, że w policyi nie był meldowany, co jednak można było wytłumaczyć charakterem jego osoby, jako zbiega przy braku osobistych autentycznych dowodów legitymacyjnych. Adam, poinformowany przez kompetentnych, rozpoczął poszukiwania, zasięgając wiadomości od dawnych towarzyszów zesłańca, byłych uczestników powstania 1863 roku, których wskazywało mu charakterystyczne ubranie. Po kilku daremnych próbach trafił wreszcie na ślad pożądany, według którego Kowalski wkrótce po przybyciu, umieszczonym został w schronisku dla weteranów, skąd jednakże z powodu choroby przeniesionym został do szpitala. Tutaj dzieje poszukiwań zakończyły się niespodziewaną katastrofą; nieszczęśliwy starzec umarł zaledwie przed kilku dniami; pogrzeb jego odbył się podczas pobytu Adama w Krakowie. Wygnanie i niewola były już zwykłą atmosferą w ciągu długiego życia tułacza, tchnienie swobody o śmierć go przyprawiło; w każdym razie, marzenia jego ziściły się, złożył zbolałe kości na ziemi ojczystej.

X.

Była godzina wczesnego ranku, dzień powszedni, w katedrze na Wawelu znajdowało się zaledwie kilkanaście osób. Przed wielkim ołtarzem klęczał pochylony mężczyzna średniego wieku, z głową poczynającą siwieć; blada jego twarz nosiła wyraz skupienia. Po długim czasie wstał, wszedł w głąb nawy, podchodząc do konfesyonału, w którym czekał na niego spowiednik.

. . . . . .

NAD SIŁY

I.

Majątek Szczekarzów, położony w świętokrzyskiem, od szeregu pokoleń należał do rodziny Bolesławskich; niegdyś stanowił obszerne dobra, złożone z kilku folwarków; uszczuplany jednak stopniowo, pozostał obecnie skromną wioską szlachecką. Zmiana ostatnimi czasy warunków ekonomicznych w kraju, następstwa wadliwie przeprowadzonego uwłaszczenia włościan, drożyzna i trudność w najmowaniu robotnika, zniżka cen na produkta rolnicze — wszystko to odbiło się również na mieszkańcach Szczekarzowa.

Jan Bolesławski, odziedziczywszy po ojcu majątek zmniejszony co do przestrzeni ale bez zobowiązań, w ciężkich tych latach, po części z własnej winy, popadł w długi, sprzedał na zrąb znaczną przestrzeń starego lasu oraz obciążył dobra na długi termin niekorzystnem wydzierżawieniem młyna i tartaku. Każdy następny rok coraz cięższym się stawał dla gospodarstwa; oprócz hipotecznych przybywały zobowiązania osobiste, niezaspokojeni wierzyciele, sekwestrator i komornik przestali należeć do gości rzadkich.

Obarczony liczną rodziną, nękany kłopotami, tytularny już prawie dziedzic, zaczął nagle zapadać na zdrowiu, wreszcie po paromiesięcznej obłożnej chorobie zakończył życie, pozostawiając interesa majątkowe w opłakanym stanie. Pozostała po nim rodzina składała się z niezaradnej wdowy, najstarszego syna Stanisława, od-

bywającego w tym czasie powinność wojskową w głębi Rosyi, dwóch dorosłych córek oraz drobnej dziatwy. Śmierć dziedzica ujawniła dopiero w zupełności ruinę majątkową; pozwy, rygory egzekucyjne, zajęcia, uprzedzenia o subhaście posypały się ze stron wszystkich. Pani Janowa płakała często, łamała ręce, fantowała srebra rodzinne, padała do nóg wierzycielom, ale tego rodzaju środki nie mogły powstrzymać grożącej katastrofy. W najcięższych tych chwilach przypadł koniec jednorocznej służby wojskowej Stanisława, który z powodu znacznego oddalenia nie mógł być obecnym na pogrzebie ojca. Młody człowiek przybywszy do domu wpadł odrazu w chaos interesów i w położenie, które zdawało się bez wyjścia. Był to jednak umysł łatwo i szybko oryentujący się, natura silna i energiczna; w ciągu kilku pierwszych dni po powrocie pozostawał jedynie niemym świadkiem fatalnego biegu rzeczy, nie przyjmując osobiście w niczem czynnego udziału; następnie, nie wychodząc z pozycyi biernej, zatopił się w niedołężnie prowadzonych rachunkach, doprowadzonych w każdym roku zaledwie do połowy w książkach gospodarskich, zbierał i porządkował porozrzucane po szufladach biurek i komód papiery i dokumenty, wreszcie wyjechał na dni parę do najbliższych miast, powiatowego Opatowa i gubernialnego Radomia, a po powrocie dopiero za zgodą rodziny wystąpił w charakterze jej przedstawiciela, obejmując ster interesów w swoje ręce.

Stanisław, chociaż dziecko wsi, nie kształcił się na agronoma; służba wojskowa przerwała studya akademickie; pragnął po wypełnieniu obowiązku państwowego powrócić na ławy uniwersytetu, lecz obecnie los rodziny nie pozwolił urzeczywistnić powziętego zamiaru. Znalazł się u steru tonącego już prawie okrętu, bez wiedzy fachowej, ale wnosił swoją osobą jasny na wszystko pogląd, rzutkość, energię oraz zamiłowanie prawdy i grę

w odkryte karty z dotychczasowymi przeciwnikami. Było to żywe przeciwieństwo w porównaniu z systemem, uprawianym przez nieboszczyka jego ojca, który był pracowitym rolnikiem, ale cały ład ogólno gospodarczy opierał na zwlekaniu, obietnicach, w dotrzymanie których sam nie wierzył, na łudzeniu innych i samego siebie, wreszcie na wyczekiwaniu jakiegoś nieokreślonego jaśniejszego dnia, ku nadejściu którego sam nie łożył najmniejszych starań. Nowa zupełnie taktyka młodego dziedzica uderzyła z początku wierzycieli i wszelkiego rodzaju interesantów; sądzili na razie, że mają do czynienia ze świeżą edycyą starej blagi, lecz niedługo parę drobnych faktów zwróciło ich uwagę, wreszcie jeden i drugi czyn, zasadzający się przeważnie na dotrzymaniu słowa, zmieniły ich punkt zapatrywania; osobę Stanisława zaczęli traktować poważniej. Nie zmniejszyła się liczba przybywających do dworu interesantów, ale zmalała ilość odezw i wyroków sądowych oraz wizyt figur urzędowych. Objąwszy zarząd majątku w swoje ręce, Stanisław uważał się za niekompetentnego do prowadzenia w szczegółach gospodarstwa rolnego, chociaż obecnie pracował teoretycznie nad przyswojeniem sobie wiadomości w tym kierunku; wychodząc z tej zasady przyjął młodego ale posiadającego oprócz fachowego wykształcenia dostateczną praktykę, agronoma, któremu powierzył kierownictwo pracy, czyniąc jednocześnie siebie jego uczniem i pomocnikiem. Wybór wypadł bardzo szczęśliwie; dawny kolega szkolny Stanisława odpowiedział godnie włożonemu na niego zaufaniu i wobec ciężkich warunków wywiązywał się świetnie z trudnego bardzo zadania. Staroświecki system gospodarstwa prowadzony przez nieboszczyka należało zmienić z gruntu. Czynność ta wymagała wkładów, na które w chwili obecnej nie stać było zarządu, co znów z drugiej strony podwajało trudności. Intelligentna jednak praca dwóch

młodych ludzi przezwyciężała poważne przeszkody, a zaprowadzony rygor oszczędności w utrzymaniu domu oraz usunięcie luksusowej części inwentarza wydawały plonne owoce. Poczciwa ziemia sandomierska, uprawna rozumną ręką, okazała się hojną karmicielką, zapomniała wyrządzane jej poprzednio krzywdy i sypała jak z rogu obfitości skarby potrzebującej zasiłku rodzinie. Nie obeszło się bez pewnych ofiar, sprzedano na zrąb pozostałą część lasu a otrzymaną w ten sposób gotówkę obrócono na spłatę najgwałtowniejszych długów, z których jedne rujnowały lichwiarskim procentem, pozostałe groziły subhastą majątku. Wykarczowany atoli z pni grunt zamienił się szybko w orne pole i wszedł w całość przestrzeni, na której zaprowadzono płodozmian w miejsce dotychczasowej trójpolówki. Sąsiedzi ze zdumieniem spoglądali na rezultat gospodarki dwóch młodych ludzi, z pomiędzy których główny działacz w chwili objęcia zarządu majątkiem nie miał pojęcia o agronomii, to też powodzenie jego przypisywali szczęściu.

Po paru latach Stanisław odetchnął swobodniej, hipoteka co prawda nie została zupełnie oczyszczoną, ale pozostałe na niej ciężary mógł wytrzymać coraz bardziej zwiększający się dochód z majątku, wystarczający obecnie nie tylko na zaspokojenie bieżących procentów, ale pozwalający nadto na stopniowe umarzanie samych długów. Znikły konie cugowe i kosztowne pojazdy, dwór pozbawionym został kucharza i lokaja, ale zapanował spokój i skromny, ale stały dobrobyt, którego poprzednio nie zaznano. Nawet zewnętrzny wygląd całego majątku uległ radykalnej zmianie, budynki gospodarskie świadczyły o starannej o nich opiece, płoty i ogrodzenia nie raziły zaniedbaniem, ogród nie pozbawiony zresztą kwiatów przynosił poważny dochód, a twarze mieszkańców dworu i folwarku cechowały zadowolenie i spokój, wypływające z zapewnionego jutra.

II.

Stanisław Bolesławski należał do jednostek obdarzonych wielu przymiotami; jasny umysł, prawość charakteru łączył z sympatyczną powierzchownością, nakazując otoczeniu niejako prawdziwą miłość i szacunek dla siebie. Malcem należał już do miłych dzieci, jako uczeń gimnazyum w Radomiu faworytem był nauczycieli i jednocześnie dobrym kolegą, zdolnym uczniem, chętnie przychodzącym z pomocą towarzyszom w odrabianiu zadań i we wspólnej pracy przyswajania nauki, którą szybciej i łatwiej przyjmował od innych. Ukończenie przez niego szkół średnich przypadło w dobie najgwałtowniejszej rusyfikacyi zakładów naukowych w Królestwie, w czasach Apuchtina; Bolesławscy od szeregu pokoleń należeli do rodzin, silnie trzymających się tradycyi narodowych, młody Stanisław wzrósł w tej atmosferze, pragnął kształcić się dalej w języku ojczystym, rodzice podniecali zapały młodzieńca, który z tego powodu znalazł się studentem wszechnicy Jagiellońskiej. Niezbyt znaczna odległość od Krakowa, oraz stosunki familijne ułatwiły urzeczywistnienie projektu, koszta zaś edukacyi w porównaniu z warszawską nie stanowiły wielkiej różnicy. Przeprowadzenie całego projektu wydało jednak w praktyce jedną ujemną stronę pierwszorzędnego znaczenia, a była nią służba wojskowa. Odbierając wyższe wykształcenie w jednym z wyższych zakładów naukowych w granicach państwa rosyjskiego, odbycie powyższej powinności mógłby odłożyć do czasu ukończenia kursów, obecnie zaś zmuszonym był z tego powodu przerwać naukę nie chcąc narazić się na groźną odpowiedzialność. Okoliczność też powyższa pociągnęła za sobą ujemne następstwa dla całej przyszłości Stanisława. Powróciwszy z Charkowa, gdzie jako skończony maturzysta odbywał służbę jednoroczną, zastał dom osie-

rocony przez śmierć ojca, gospodarstwo prawie zrujnowane; pragnąc ratować rodzinę, jako najstarszy syn, zmuszonym był wyrzec się marzeń o ukończeniu uniwersytetu, a dalsze studya zamienić na ciężką pracę na kawałek chleba powszedniego. Na stanowisku tem okazał się nad wyraz pożytecznym, ocalając byt rodziny, równocześnie jednak pogrzebać musiał marzenia, jakiemi oddychał dotąd, odmienną sobie wystawiając przyszłość. Ofiara, jaką złożył na ołtarzu dobra najbliższych sobie, kosztowała go w pierwszych chwilach wiele, nigdy jednak nie dał poznać tego po sobie. Mozolna ta jednak praca na rodzinnym zagonie, dzięki rozlicznym owocom, jakie przynosiła, pochłonęła wkrótce całą jego istotę; poprzednie marzenia o przyszłości innej oddaliły się w dziedzinę nie budzących już goryczy wspomnień. Oddany przeważnie ogólnemu kierunkowi interesów, nie zaniedbał atoli życia umysłowego. Owszem książki o najsubtelniejszych zagadnieniach dusz ludzkich nie przestały i nadal stanowić głównej części jego upodobań.

Ubiegło lat parę w ciężkiej pracy, ciągłych zabiegach, ale pomyślne rezultaty stanowiły zasłużoną nagrodę dla pracowników. W ciągu tego czasu dwie siostry Stanisława wyszły zamąż, starsza za sąsiada, pracowitego i dorabiającego się dzierżawcę, młodsza zaś została żoną urzędnika z Opatowa; pozostałe rodzeństwo dorastało, pozostając w zakładach naukowych. Stanisław zżyty z myślą przepędzenia całego życia na wsi w obecnych warunkach, zapragnął stworzyć rodzinę własną, aby silniej jeszcze związać się z położeniem i zarazem wytworzyć istotny cel dla swojej pracy. Myśl tę podsunęła mu bezwiednie młoda, nieposażna panienka, sierota, krewna i wychowanka najbliższych sąsiadów Szczekarzowa.

Stefcia, ładna i delikatna dwudziestoletnia blondyna, nie należała dotąd do wybranek losu; obarczona

pracą, zajmowała miejsce podrzędne w domu swoich opiekunów, którzy na każdym kroku dawali jej poznać świadczoną łaskę. Dziewczę, co prawda, odebrało wychowanie na równi z córkami dziedzica, a nawet przyjęło tę edukacyę lepiej niż ostatnie, było jednak znacznie przystojniejszem od nich. Okoliczność ta stanowiła główny powód do usunięcia sieroty z chwilą dorośnięcia na plan drugi, aby przypadkiem nie stanowiła niebezpiecznej rywalizacyi dla córek. Taktyka okazała się niepraktyczną i cel chybionym; Stefcia postawiona w warunkach wyjątkowych, powierzchownością swoją tem silniejszą zwracała na siebie uwagę obcych, budząc ku sobie ich sympatyę; brak jednak posagu stanowił przyczynę, że w liczbie życzliwej sobie młodzieży nie znajdowała konkurenta. Stanisław bywał czasami w domu sąsiadów, raz przypadkiem był nawet świadkiem niesłusznego maltretowania sieroty przez jej opiekunów. Fakt ten zwrócił baczniejszą jego uwagę na Stefcię, którą widywał od dziecka, patrzył jednak na nią okiem obojętnem. Odtąd kilkakrotnie nawiązywał z sierotą rozmowę, a dziewczyna za każdym razem silniejsze na nim sprawiała wrażenie; zaczął częściej odwiedzać dom sąsiadów, nie zdając sobie sprawy, że ona właśnie jest tego powodem. Stefcia przy bliższem poznaniu zyskiwała wiele; z początku nieśmiała była i małomówna, ale oswoiwszy się z osobą Stanisława, ujawniała wrodzoną intelligencyę, popartą otrzymanem wykształceniem, dobroć i łagodność na tle czysto kobiecego charakteru w dodatniem znaczeniu tego ostatniego. Wkrótce młody człowiek zrozumiał siebie, a doszedłszy do przeświadczenia, że jest na seryo zajętym osobą sieroty, postanowił wybrać ją na swoją żonę. Chociaż nie przeceniał samego siebie, sądził jednak, że panna nie będzie przeciwną jego zamiarom. Inne jednak przypuszczenie zakłócało spokój jego myśli. Jakkolwiek w domu był

głową i przedstawicielem rodziny i nie przypuszczał, aby w wykonaniu zamiarów dotyczących jego własnej osoby natrafić na stanowczą opozycyę, przekonanym był jednak, że wybrana jego serca nie będzie po myśli rodziny. Od lat paru kwestya jego ożenienia była niejednokrotnie tematem poufałych rozmów domowników, a za każdym niemal razem z punktu widzenia karyery materyalnej; obecny zamiar jego stawał w sprzeczności z tymi widokami. Czuł się dość silnym do przeprowadzenia małżeństwa wbrew chęci i życzeniom najbliższych, ale lękał się myśli, że Stefcia w nowym domu własnym, zwłaszcza z początku, nie napotka serc życzliwych. Postanowił przed ujawnieniem wybranej uczuć swoich uprzedzić o tem rodzinę, co też uskutecznił.

Pierwsze wrażenie po otrzymanej wiadomości odbiło się silnie na matce, jak przewidywał, w sposób niesympatyczny dla projektowanej synowej; staruszka jednak przywykła była cenić rozum syna: że dużo zyskała dotąd na uleganiu jego woli, nie wystąpiła więc z perswazyami, ale też nie ujawniła zadowolenia takiego, jakie w podobnych wypadkach zjawia się na twarzy matki. Inaczej zupełnie przyjęła Stefcia niespodziewaną dla siebie wiadomość. Z początku słowa Stanisława przyjęła za żart, a gdy przekonała się o ich szczerości, nie ukryła przed nim, że spotyka ją takie szczęście, o jakiem marzyć nie śmiała. Gdy pokrywał gorącymi pocałunkami rączkę jej drobną, ale noszącą ślady pracy, łzy radości spływały po twarzy dziewczęcia. Po chwili wyrwała się z jego objęć, uklękła, a ruch warg wskazywał, że szeptała modlitwę; młody człowiek stał obok, spoglądając na nią z uwielbieniem. Państwo Barscy, opiekunowie, do których następnie zwrócił się Stanisław, przyjęli oświadczyny o rękę sieroty z wielkiem zdumieniem, a pani domu po chwili nie powstrzymała się od złośliwego frazesu:

— Jedno mogę powiedzieć panu o Stefanii, że jest pracowitą.

— Postaram się, aby jako moja żona wypoczęła po pracy, odpowiedział młody człowiek, wypłacając się równą monetą.

Stanisław należał do natur energicznych, w krótkim więc czasie związek małżeński starał się doprowadzić do skutku. Pełne rozkoszy chwile, w ciągu których pozostawał jako narzeczony, nie pozbawione były i mrocznych momentów. Stosunek z Barskimi, którego nie mógł przecież uniknąć, chłodny i etykietalny, dalekim był od szczerości. Ludzie ci nie mogli mu wybaczyć, że biedną sierotę przełożył nad jedną z ich córek, zwłaszcza pani domu złośliwymi ucinkami niejednokrotnie raniła jego uczucie ku narzeczonej. We własnym domu nie napotkał na opozycyę jawną, ale z pomimowolnych spojrzeń, z wymkniętych półsłówek mógł wnioskować na pewno, że rodzina tylko pod moralnym naciskiem przyjmuje jego wybór. Małe te jednak i przemijające przykrości wynagradzał stokrotnie stosunek ze Stefcią, która pod ożywczym wpływem miłości dopiero obecnie przeobrażała się w zupełną kobietę, godną takiego uczucia, jakie miał dla niej Stanisław. Wrodzone usposobienie, oraz dola sieroca rozwinęły w niej przedewszystkiem dobroć, łagodność i pobłażliwość. Choć młoda jeszcze, przecież tyle w życiu swem zaznała goryczy, tak zżyła się z niemi, że poniekąd przykrości i upokorzenia stanowiły dla niej strawę codzienną; natomiast chwile jaśniejsze, przebłyski powodzenia nawet tak rzadko zawadzały o jej istotę, że obecnie czuła się wprost oszołomioną potęgą i ogromem szczęścia, wśród jakiego żyła. Opiekunowie w ostatnich chwilach zmienili co do niej nieco taktykę postępowania; oswobodzili od wielu zajęć gospodarstwa domowego, które dotąd obowiązywały ją jakby najemnicę, lecz z drugiej strony przy każdej zdarzonej spo-

sobności nie szczędzili jej złośliwych docinków na temat czekającej ją karyery, w czem dopomagały rodzicom przedewszystkiem córki; Stefcia jednak znosiła wszystko z rezygnacyą, pocieszając się nadzieją, że obecna jej niedola dobiega już końca.

Po odbytym obrzędzie ślubnym i przejeździe do Szczekarzowa, Stefcia ujęła rodzinę męża taktem i naturalnością obejścia; w postępowaniu jej nie było sztucznej afektacyi ani wyrachowania; prosta jej otwarta natura nie była zdolną do podobnych kombinacyi. Stanisław promieniał szczęściem, nie ukrywał przed najbliższymi, że rzeczywistość przeszła jego oczekiwania; oprócz upojenia miłością, odnalazł w żonie podatny materyał do rozwoju duchowego, podnosił myśl jej ku swoim horyzontom, a ona rwała się do światła.

Cicho i spokojnie płynęły dni w Szczekarzowie; praca nad oczyszczeniem majątku była długą i ciężką, obecnie jednak weszła w fazę normalną, to jest wymagała jedynie wytrwałości, której nie brakło młodemu dziedzicowi. Lichwiarskie długi żydowskie ustąpiły miejsca zwiększonej pożyczce Towarzystwa kredytowego oraz zobowiązaniom w bankach, co wszystko prowadziło do amortyzacyi obciążeń, ale akuratność i ścisłość w prowadzeniu całości stanowiły warunek niezbędny. Zmieniony z gruntu system gospodarstwa zaczął obecnie wydawać coraz pomyślniejsze rezultaty i pozwalał wprowadzać nowe zmiany, dążące ku podniesieniu dochodu. Stanisław pracował nieustannie nad wzbogaceniem wiadomości swoich w dziedzinie wiedzy rolniczej, a bystry jego umysł i zdrowy sąd krytyczny pozwalały na umiejętne stosowanie danych teoretycznych w praktyce. Zaprowadzona z początku na próbę w skromnym zakresie plantacya nasion roślin pastewnych okazała się pomysłem świetnym, a rozszerzana z roku na rok zaczęła stanowić lwią część budżetu przychodowego. Niezależnie

dzierżawca młyna i tartaku, zachęcony dość znacznem odstępnem, zrzekł się dalszego kontraktu, co również wpłynęło bardzo dodatnio na ogólny stan interesów. Słowem pogoda pożycia domowego szła w parze z widokami materyalnymi przyszłości, a Stanisław w młodej żonie odnalazł dzielną współtowarzyszkę pracy, pod ręką której dział gospodarstwa kobiecego, dotąd zaniedbany, kształtował się i rozwijał z pożytkiem. Całość jednak, wobec obciążających majątek dość znacznych długów, stanowiła bardzo skomplikowaną maszynę, wymagającą nieustannej czujności głównego mechanika; pęknięcie jednego trybu w licznych kołach i kółkach aparatu mogło jeszcze spowodować zatrzymanie biegu i wywołać niszczące następstwa.

Praktyczny umysł Stanisława zdołał zaprowadzić ład w zajęciach domowych, tak że praca, chociaż ciężka, wielka, ujętą została w karby systematyczne i zostawiała sporo chwil wolnych, znaczną część których zajmowało życie umysłowe.

Książka i gazeta łączyły mieszkańców Szczekarzowa z resztą ucywilizowanego świata. Polacy w Królestwie, pozbawieni czynnego udziału w życiu publicznem, nie zajmują się tyle polityką, co obywatele krajów konstytucyjnych; w każdym jednak razie ważniejsze kwestye na tem polu nie są dla nich obce. Wiadomość o wypowiedzeniu wojny Rosyi przez Japonię w pierwszych chwilach nie wywarła na dwór Szczekarzowski silniejszego wrażenia; wypadki odgrywające się nieledwie na drugiej półkuli nie wiele zdawały się przedstawiać interesu dla odległych rolników cichej wioski. Karmiąc się wyłącznie strawą, fałszowaną przez cenzurę rosyjską, Bolesławscy na równi z innymi mieszkańcami Królestwa sądzili, że zuchwali Japończycy wkrótce zasypani zostaną czapkami rosyjskiemi; wiadomościom o pierwszych niepowodzeniach oręża carskiego nie przydawano

osobliwego znaczenia i życie w zaciszu płynęło zwykłym trybem. Nawet wezwanie urzędowe, jakie otrzymał Stanisław w charakterze rezerwisty, aby nie wydalał się z miejsca stałego pobytu, poczytano za zwykłą w tych razach formalność i nie przypisywano mu żadnego znaczenia. Wojna tak odległa przedstawiała się zdarzeniem, budzącem ogólną ciekawość, lecz pozbawionem osobistego interesu.

III.

Rozpoczynająca się wiosna zapowiadała nawał interesów i zajęć gospodarskich; Stanisław gotował się z całą energią sił młodzieńczych do pokonania oczekującej go pracy. Zadanie było tem trudniejsze, że obecnie cały ciężar zarządu majątkiem spadł wyłącznie na barki młodego gospodarza; dotychczasowy rządca opuścił Szczekarzów od Nowego roku, gdyż Stanisław czuł się już dostatecznie przygotowanym do objęcia części agronomicznej w swoje ręce, co znacznie zmniejszało koszta administracyi. Według wytkniętego planu przystąpiono do budowy dwóch koniecznych budynków gospodarskich, ku czemu materyał został wcześniej przygotowany. Roboty polne były już w pełnym ruchu; po niezbyt ostrej zimie nastąpiła wyjątkowo pogodna w naszym klimacie pora. Młode małżeństwo wśród pracy śledziło w zachwycie budzącą się ze snu naturę; była to w ich pożyciu wiosna pierwsza, przeżywana wspólnie; promienna tem bardziej, że w tym właśnie czasie dopełniało ich szczęścia czarowne oczekiwanie nowej istoty, która miała połączyć ich węzłem jeszcze silniejszym. Jutro zdawało się zapowiadać spokojne i jasne.

W tej to porze, w godzinach przedpołudniowych przybył niespodziewanie do Szczekarzowa konny posłaniec z korespondencyą na imię Stanisława; ostatni ro-

zerwał kopertę, przeczytał krótką odezwę biura powiatowego i oniemiał. Czytał po raz drugi, wzrok go nie mylił; straszne, nieoczekiwane nieszczęście. Z twarzą zmienioną nie do poznania stał kilka chwil w swojej kancelaryi, ręce bezwiednie przyciskał do czoła, pragnął siłą woli uporządkować chaos myśli, powstały w jego głowie pod wrażeniem otrzymanej wieści. Bladym był jak nigdy, czuł, że nogi chwieją się pod nim; zdawało mu się, że słyszy uderzenia własnego serca.

To, co dowiedział się w tej chwili, nie może pozostać tajemnicą przed żoną i matką, zanim jednak zaniesie im hiobową wieść, pragnął przedewszystkiem sam przyjść do pewnej równowagi, aby zdobyć się na słowa perswazyi i rozsądku względem najbliższych, chociaż sam, przybity, nie wierzył w siłę swojego posłannictwa.

Fakt jeden nietylko jest w stanie zrujnować szczęście, ale zniszczyć podwaliny egzystencyi, która przed chwilą zdawała się być utrwaloną; taki epokowy moment przeżywał właśnie w tej chwili dziedzic Szczekarzowa. Otrzymana odezwa powiatu głosiła, że Stanisław jako pozostający w rezerwie powołanym jest do armii czynnej i w ciągu dwudziestu czterech godzin obowiązanym stawić się na punkcie zbornym w Opatowie pod grozą odpowiedzialności wojenno sądowej. Nie trudno było pojąć i zrozumieć całą doniosłość otrzymanego ciosu. Zerwanie cichego szczęścia domowego, oddanie siebie za obojętną najzupełniej sprawę, momentalna ruina z takim wysiłkiem tworzonego bytu, przewidywana rozpacz najbliższych istot, żal za własnem młodem życiem, wszystko to jak widma opanowało umysł nieszczęśliwego, mroczyło na razie jego myśli, targało serce. A jednak pragnął opanować siebie; wszak jego rezygnacya i spokój powinny być lekarstwem na ból żony i matki; jego słowa rozsądne mają koić ich rozpacz; niezależnie w ciągu kilkunastu godzin należało dokonać olbrzymiej

pracy odnośnie do interesów majątkowych. Pod wpływem tych myśli Stanisław chłódł i spokojniał, tylko bladość twarzy i zaostrzenie jej rysów wskazywały, jakiemu wysiłkowi woli zawdzięczał spokój swój obecny.

Nie pozostawało czasu do stracenia; nakazaną ostrożność w zawiadomieniu rodziny należało pogodzić z szybkością działania. Wyjątkowy stan Stefci oczekującej słabości wymagał szczególniejszego uwzględnienia. Postanowił z tego powodu uprzedzić przedewszystkiem matkę i dopiero wspólnie z nią powoli uświadomić żonę o sytuacyi, a oprócz tego zmniejszyć grozę samego faktu, tając okoliczność, że jest powołanym na plac boju, chociaż na tym punkcie nie miał żadnej wątpliwości. Pierwsza połowa projektu nie okazała się w praktyce szczęśliwie pomyślaną; matka od paru lat będąca najbliższym świadkiem pracy i poświęcenia Stanisława, oraz pomyślnych rezultatów jego działalności, przywykła patrzeć na niego jak w słońce. W zdziecinniałym wskutek wieku i przejść umyśle postać syna wyrosła do rozmiarów olbrzyma, bez którego istność własną uważała za niemożebną i wiadomość o nagłym jego wyjeździe uderzyła w nią jak grom. Na głos płaczu rozpaczającej staruszki nadbiegła Stefcia i rzecz cała w zmniejszonych przez Stanisława rozmiarach ujawniła się odrazu przed obydwiema kobietami. Młoda żona nieoczekiwaną a straszną wiadomość odczuła w inny zupełnie sposób; nie wybuchła płaczem, z piersi jej nie wydobyły się ciche nawet jęki, milczała jak oszołomiona, tylko twarz jej pokryła się gorączkowym wypiekiem i oczy świeciły dziwnym blaskiem. Na razie starania jej i męża zwróciły się na niedającą uspokoić się staruszkę, która wśród wybuchów rozpaczy parę razy szorstkim ruchem odsunęła od siebie synowę. Gdy za chwilę młodzi ludzie znaleźli się sami, Stefcia ujęła męża za rękę i patrząc mu w oczy rzekła:

— Stasiu, ciebie powołują na wojnę, powiedz prawdę, nie kryj przedemną.

— Wzywają mnie jako rezerwistę do pułku w którym służyłem, do Charkowa tylko.

— Tak, na razie, ale stamtąd wyszlą do Japonii; lepiej to wiesz i rozumiesz odemnie a jednak skrywasz. Ja chcę prawdy, choćby najgorszej, ale prawdy tylko; niepewność stokroć więcej niepokoi i męczy.

— Najdroższa, mówił, dlaczego mnie nie wierzysz; zapewne wezwanie pozostaje w związku pośrednim z wojną, ale na plac boju nie jestem powołanym.

— Zwodzisz mnie, boisz się zmartwić i przestraszyć w obecnem mojem położeniu, ale ja zniosę wszystko, natura moja od dziecka zahartowana do przeciwności, chociaż co prawda, to co dzisiaj mnie spotyka takie straszne a przytem takie niespodziewane, jak żadne przejście w życiu. Okropną dla mnie była śmierć matki, ale zbliżała się powoli; ciebie mój jedyny tracę nagle. Nie darmo bałam się szczęścia, jakie mi dałeś, czułam, że było dla mnie za wielkiem. Nie na takie życie ja się urodziłam.

Mówiła wolno, głosem na pozór prawie normalnym, Stanisław tylko z największym wysiłkiem dotrzymywał jej spokoju, słowa jednak męża nie zdołały przekonać Stefci. Czas naglił, a tu tak wiele pozostawało do spełnienia. O możebnem, połowicznem nawet uporządkowaniu interesów w ciągu kilku godzin nie mogło być mowy, jak również o ułożeniu szczegółowego planu postępowania podczas nieobecności gospodarza. Zadanie to było niewykonalnem, nie tylko dla bystrego i szybko oryentującego się umysłu Stanisława, ale wprost przechodziło siły ludzkie. Zdawało się, że los darował złośliwie i podstępnie biednemu człowiekowi kilka dni szczęścia, dał mu przedsmak spokoju życia, a następnie urąga nad bezwinnym z okrucieństwem tyrana, nietylko

wydziera darowiznę ale rujnuje doszczętnie lichwiarskim procentem, licząc za krótkie momenty uczciwej radości długie dni cierpienia. Położenie Stanisława rzeczywiście było rozpaczliwe; Szczekarzów z takim wysiłkiem rozumu i pracy, zdawało się, że uratowany już od niechybnej ruiny, obecnie pozbawiony kierownika, w krótkim czasie stanie się łupem niezaspokojonych jeszcze wierzycieli; staruszka matka ostatnie dni przeżyje nietylko bez opieki ale może i bez dachu; na myśl o żonie i mającym przyjść na świat jego potomku serce pękało mu z bólu. Wreszcie on sam — jakże straszną jest igraszką losu! w zaraniu życia myślał o pracy w szeregach apostołów wiedzy na szerokiej arenie społecznej; obowiązki rodzinne uniemożebniły pierwotne plany. Bez szemrania pożegnał marzenia młodości, zeszedł pomiędzy maluczkich, ukochał zagon rodzinny, zrosił go potem spracowanego czoła i w chwili gdy ziemia ojcowska zaczęła wydawać plenne ziarno, musi rzucić ją, aby ponieść życie we wstrętnej służbie caratu. Z trudem sklecił własne gniazdo i zaledwie ukończył budowę, zostawia go bez karmu dla piskląt — na łup nieunikniony. Wobec całej grozy położenia Stanisław czuł się prawie bezsilnym i to potęgowało jego cierpienia. Zdobył się na niesłychany wysiłek, za kilka godzin miał opuścić żonę może na zawsze, a jednak nie mógł poświęcić tych chwil ostatnich jej towarzystwu; zamknął się w gabinecie i tutaj samotny myślał, kombinował, liczył i pisał. Dzisiaj każda minuta przedstawiała wartość złota a on nędzarz nie miał prawa go trwonić.

Ostateczny rezultat kilkogodzinnej ciężkiej pracy umysłowej Stanisława zawierał się w następujących faktach. Postanowił ogólne kierownictwo interesów złożyć w ręce znanego mu dobrze adwokata w Radomiu, do którego miał zupełne zaufanie na zasadzie dotychczasowych paroletnich stosunków; wygotował dla niego ob-

szerny chociaż możliwie treściwy memoryał, przedstawiający cały obecny stan majątku. Drugą pracę stanowił opis Szczekarzowa pod względem gospodarczym ze szczególnem uwzględnieniem systemu przeprowadzonych reform, który miał służyć jako przewodnik dla przyszłego rządcy majątku, który podczas nieobecności właściciela miał zastąpić jego miejsce. Odnalezienie podobnej osobistości, niezbędnej na miejscu, Stanisław postanowił złożyć na odpowiedzialność radomskiego mecenasa. Niezależnie pozostawił dla żony obszerną notatkę, zawierającą szereg praktycznych wskazówek, któremi miała się oryentować w poszczególnych wypadkach, o ile takie w głównych zarysach były do przewidzenia. Stanisław nie łudził się zupełnie co do problematycznej wartości poczynionych przez niego zarządzeń; rozumiał dobrze, nie przeceniając własnej wartości, że w danych okolicznościach druga osoba, pomimo najlepszych chęci, nie będzie mogła go zastąpić, a niezależnie nie wchodziły w rachubę okoliczności nieprzewidziane i naturalnie wypadki ślepego losu.

Nie długie za to były osobiste przygotowania Stanisława do dalekiej drogi; rzeczy z sobą nie brał żadnych, oprócz niezbędnej bielizny i ubrania na sobie, które to ostatnie wkrótce miał zamienić na mundur żołnierski. Zapas leżącej gotówki w domu nie był znacznym; ulegając tylko błaganiom żony, wziął z niej tylko dwieście rubli.

Smutne były ostatnie chwile przed wyjazdem; matkę przez cały czas uspokoić nie było można; biedna staruszka nie rozumiała dobrze, dokąd syn jej wyjeżdża, ale nagłość podróży zdwajała jej obawy. Obecni z niepokojem spoglądali na wskazówki zegaru, które nieubłaganie posuwały się naprzód.

— Stasiu, rzekła żona przy pożegnaniu, ty wybacz mi wszystko.

— Co najdroższa? — zapytał, nie rozumiejąc jej.

— Może kiedykolwiek zrobiłam ci bezwiednie przykrość, a może nie umiałam ciebie kochać tak, jak chciałeś — więc to mi wybacz.

Konie ruszyły, turkot bryczki zagłuszył płacze kobiet, ale Stanisław słyszał je długo, bardzo długo.

IV.

Jedyna pozostała z dawnych czasów para koni, trzymana specyalnie do wyjazdów, unosiła szybko młodego człowieka do Opatowa, stanowiącego na razie najbliższy cel podróży. Czas na wyznaczoną godzinę stawiennictwa spóźnionym nie był, ale nie było go też wiele do stracenia. Stanisław obrzucał pożegnalnym wzrokiem znaną sobie od dziecka okolicę; dręczyła go uporczywie myśl, że opuszcza te strony ojczyste, aby już nie powrócić do nich więcej. Pragnąc odwrócić uwagę własną od tylko co przeżytego, ciężkiego momentu pożegnania, zmuszał się do zaprzątania umysłu sprawami innemi, nie pozbawionemi również pierwszorzędnego znaczenia. Pierwszą z nich był sterczący swoją doniosłością fakt, że wojna, do przyjęcia udziału w której został zmuszonym, obcą mu była najzupełniej i nie pozostawała w najmniejszym związku z jego sympatyami osobistemi. Nie kształcił się na żołnierza, powinność wojskową pełnił z musu, nie czując się stworzonym na syna Marsa. Gdyby to szło o walkę za kraj własny, o wydobycie go z pęt niewoli, inna wówczas zupełnie byłaby sprawa; wtedy krew wrzałaby w nim żądzą boju, myśl o losie osieroconej rodziny ustąpiłaby na plan drugi wobec przeświadczenia, że działa w interesie całego narodu, wreszcie życie własne w podobnych warunkach nie grałoby tej roli, co obecnie; nawet śmierć sama na polu walki uśmiechałaby się aureolą bohaterstwa. Smutny dzień dzi-

siejszy inaczej przedstawiał się zupełnie; wyrwany z pośród najbliższych, powołanym jest siać zniszczenie wśród tych, którzy nie zawinili mu nic; — ma być, jako niewolnik, podległy fantazyom tyrana.

Wśród myśli podobnych pamięć nasuwała mu co chwila obrazy dopiero co porzuconego dworu szczekarzowskiego, a postacie pozostałych tam drogich osób żywo stawały mu przed oczami.

Przybywszy do Opatowa, Stanisław zastał przed biurem powiatu zgromadzonych kilkudziesięciu rezerwistów, wezwanych na równi z nim do armii czynnej. Należeli oni przeważnie do stanu włościańskiego, na twarzach ich malował się przestrach i osłupienie. Przybyłym po większej części towarzyszyły żony i dzieci, płaczące głośno; pośród grup uwijali się strażnicy ziemscy, sprawdzający listy powołanych. Przy czynności tej klęli głośno i używali słów ordynarnych, brutalnych, ubliżających; popychali mężczyzn, potrącali szorstką ręką towarzyszące im kobiety. Przybyły przecisnął się przez tłum do wnętrza budynku; znajomy osobiście naczelnik powiatu przyjął go z oznakami wyszukanej grzeczności oraz objaśnił, że właściwym punktem zbornym jest biuro naczelnika wojennego w Radomiu, dokąd rezerwiści z całego powiatu zostaną odstawieni pod eskortą; Stanisława zwolnił jednak na słowo od nieprzyjemnego szupasu, zobowiązując go do dobrowolnego stawienia się tamże w oznaczonym terminie, oraz nadmienił, że podobne ustępstwo okaże się prawdopodobnie możebnem i w dalszej drodze do Charkowa. Zawdzięczając powyższej grzeczności naczelnika powiatu, Stanisław niewielką przestrzeń z Opatowa do stacyi kolei w Ostrowcu przebył jeszcze swoim ekwipażem, w którym znalazł się niezwłocznie, aby wskutek przyspieszonego przyjazdu do Radomia uzyskać parę godzin wolnego czasu, który zamierzał poświęcić osobistym sprawom. Po przybyciu

zastał w domu szczęśliwym zbiegiem okoliczności adwokata, któremu zamierzał powierzyć swoje interesa; dłuższa nieco konferencya wtajemniczyła ostatniego w stan interesów szczekarzowskich, poprzednio znanych mu nieco z paru spraw już przeprowadzonych; zacny człowiek przyjął gorąco położone w nim zaufanie i przyrzekł niezależnie od ogólnego kierownictwa co pewien czas zjeżdżać na grunt dla osobistego sprawdzenia położenia rzeczy. Po dokonaniu niezbędnych formalności, jakimi były zeznanie dwóch rejentalnych plenipotencyi na imię mecenasa i żony, Stanisław udał się do naczelnika wojennego, a chociaż nie znał dokładnie adresu biura, rozpoznał zdaleka żądany lokal po tłumie ludzi, jaki dom ten od ulicy otaczał. Przeważali liczbą włościanie w barwnych miejscowych strojach. Znaczną mniejszość stanowili ludzie z innych warstw społecznych. Nieliczne grupy żydów oddzielnie. Na wszystkich twarzach malował się smutek i przygnębienie, wyrwani z pośród ognisk domowych, zmuszeni porzucić pracę, którą utrzymywali rodziny, gnani byli obecnie ci nieszczęśliwcy na drugi koniec świata, do obcej ich sercom walki, z której nie wielu miało powrócić do miejsc ojczystych.

Na widok przyszłych towarzyszy niewesołe myśli opanowały Stanisława, który przeciskał się przez tłum do urzędu. Tutaj w oddzielnej sali znalazł kilkunastu młodych ludzi, sądząc po powierzchowności, należących do sfery intelligentnej, powołanych równie jako rezerwistów. Chwilę tylko łudził się nadzieją, że znajdzie w nich odpowiedniejszych dla siebie towarzyszy, okazało się bowiem, że wszyscy należeli do różnych zupełnie oddziałów, rozlokowanych w najrozmaitszych miejscowościach i tylko część drogi mieli odbywać wspólnie. Dowiedział się następnie, że niektórzy z obecnych otrzymali już pozwolenie na dobrowolne dostawienie się do odpowiednich oddziałów wojsk, innym zaś bez wy-

jaśnienia przyczyn pozwolenia takiego odmówiono. Odnośnie do własnej osoby Stanisław nie miał wątpliwości na zasadzie słów naczelnika powiatu w Opatowie i sądził, że dojedzie do Charkowa jako wolny podróżny, bez należenia do oddziału rezerwistów, co zapewniało mu chociaż kilkodniową jeszcze swobodę. Ożywiony tą myślą zwrócił się do oficera służbowego, tłómacząc mu swoją prośbę, ten jednak odesłał go do samego naczelnika. Stary pułkownik, po rozpatrzeniu przedstawionych mu list i dokumentów, rzekł dość opryskliwie:

— Nie można, trzeba razem z innymi, służba wojskowa nie zna wyjątków.

Słowa powyższe nie były zgodne z prawdą, gdyż, jak przed chwilą dowiedział się Stanisław, niektórzy z rezerwistów otrzymali proszone przez niego pozwolenie. Subordynacya jednak wojskowa nie pozwalała na dalszą dyskusyę. Czuł się wysoce dotkniętym odmową, ale jednocześnie interesował go w wysokim stopniu powód takiej niełaski; półrubel ofiarowany dyskretnie pisarzowi wojskowemu zdradził tajemnicę biurową: w sekretnych adnotacyach do listy rezerwowych obok jego nazwiska figurowała krótka wzmianka »kształcił się bez pozwolenia władzy w Krakowie«. Fakt powyższy stawiał go w oczach rządu w świetle niekorzystnem, obniżając do pewnego stopnia zaufanie względem jego osoby.

Tegoż dnia nastąpiły oględziny lekarskie, a wieczorem wyjazd rezerwistów zwykłym pociągiem osobowym w doczepionych oddzielnych wagonach, krytych lecz bez siedzeń, noszących na zewnątrz napisy »osiem koni albo czterdziestu ludzi«. Po usadowieniu całej partyi odezwał się chrapliwy, przeciągły świst lokomotywy i pociąg wolno ruszył ze stacyi radomskiej, unosząc z sobą nieszczęśliwych Polaków na nowe, zasyberyjskie wygnanie i na śmierć dotąd jeszcze nieznaną w kronikach ich męczeństwa.

Nastąpiła pierwsza z długiego szeregu nocy, jakie Stanisław miał przepędzić w ohydnym wagonie. Pod natłokiem wrażeń ostatniej doby czuł się ogłuszonym i przybitym; jakże chwila obecna niepodobną była do ostatnich, najbliższych dni jego życia; epokowy przełom nastąpił tak nagle i niespodziewanie, że ciągle pozostawał pod wrażeniem nagłej zmiany i nowych zupełnie warunków egzystencyi. Jeden moment, świstek papieru zamienił go z wolnego człowieka, swobodnego, zdawało się, obywatela kraju, pracownika na roli, zależnego jedynie od własnego poczucia obowiązku, na automat, bezduszną maszynę do zabijania ludzi. Gdyby to była wojna o wyzwolenie własnego kraju, walka pod narodowym sztandarem w imię świętego dla niego poczucia patryotyzmu, o ileż z mniejszym bólem porzuciłby dom własny, żonę, matkę, oddałby bez żalu życie w ofierze na ołtarzu ojczyzny; lecz obecnie w charakterze nie najmity już, ale wprost niewolnika wlec się musi długie tysiące wiorst, aby zadawać śmierć ludziom, którzy mu nic nie zawinili, lub odwrotnie paść z ich ręki. W domu zostawić odłogiem tylko co rozpoczętą pracę, wyjazdem swoim rozedrzeć serca najdroższym istotom, nie doczekać się ujrzenia własnego potomka, zmarnować życie własne i zatruć rozpaczą najbliższych — to los jego obecny.

Takie myśli dręczyły umysł Stanisława, gdy z głową opartą o krawędź wysokiego okna stał w zamyśleniu. Obszerne wnętrze wagonu tonęło w półzmroku, słabo oświetlone lampą naftową, umieszczoną u sufitu; podłoga do połowy zasłaną była słomą, na której spoczywali jadący, nie wyłączając pozostałego w służbie czynnej podoficera, pełniącego obowiązki bezpośredniego zwierzchnika i dozorcy nad rezerwistami. Ujechano kilka stacyj, krótka noc wiosenna miała się już ku schyłkowi, sen jednak nie przystępował do powiek Stanisława, nie

mogącego uporać się z własnemi myślami, które po kilkunastu godzinach gorączkowego zajęcia przy obecnym względnym spokoju, tłoczyły się jedna za drugą. Młode siły, przyzwyczajone do pracy, oraz obecny stan rozgorączkowania trzymały jego energię w naprężeniu i nie dopuszczały do uczucia zmęczenia. Dzień rozpoczynał się jasny i pogodny, słońce powoli wznosiło się coraz wyżej a Stanisław nie czuł zupełnie potrzeby spoczynku.

Do chwili obecnej znajdowało się w wagonie dosyć swobodnego miejsca, w Lublinie jednak przybył nowy transport rezerwistów, dopięto parę wagonów, ale te nie pomieściły wszystkich przybyłych, część ich więc ulokowano w dotychczasowych. Wagon, w którym znajdował się Stanisław, dokompletowano do normalnej liczby czterdziestu ludzi, wskutek czego powstała ciasnota, czyniąca podróż bardzo uciążliwą. Z trudem zaledwie utrzymywał swoje miejsce przy oknie, nie ustępując go ze względu na dopływ świeżego powietrza, ku wieczorowi jednak zaczęło opanowywać go znużenie, wzmagające się stopniowo; z początku starał się je opanować, lecz wysiłki okazały się próżnymi, wreszcie zasnął snem twardym.

Wolna, z długimi przystankami, kilkodniowa droga do Charkowa była tylko przedsmakiem trudów podróży, jakie oczekiwały go w następstwie. Z przybyciem do wzmiankowanego miasta nastąpił nowy okres w dziejach obecnej jego wyprawy; do chwili obecnej pozostawał wezwanym do armii rezerwistą, obecnie miał zamienić się w żołnierza. Po opuszczeniu wagonu łącznie z całym tłumem towarzyszów podróży, postępował w jednej zbitej masie przez szerokie ulice nowego miasta; tłum ten, idący środkiem ulicy, sprawiał wrażenie raczej konwojowanych aresztantów, a nie przyszłych bohaterów. Stanisław szedł wśród innych ze zwieszoną głową, na twarzy jego malował się wyraz upokorzenia; ubranie, przed

niedawnym czasem elegancki wiosenny garnitur, obecnie zmięte, zbrukane kilkodniowym pobytem w wagonie, nadawało mu zupełny wygląd włóczęgi, ku czemu przyczyniała się ta jeszcze okoliczność, że znaczna większość rezerwistów niosła w rękach kuferki, tłomoczki lub wreszcie zawiniątka, a on postępował bez ręcznego bagażu. Po chodnikach szerokich ulic, wysadzanych drzewami, snuły się szeregi przechodniów przy pięknej wiosennej pogodzie; Stanisław unikał wzroku nieznanych sobie ludzi, trzymając głowę pochyloną ku ziemi. Odczuwał bezsilność swoją wobec fatalnego położenia, pierś tłoczył mu ból ciężki, głowę opanowały myśli niewesołe; wychowany w swobodzie pojęć i poglądów, karmiony zasadami altruistycznemi, obecnie na pośmiewisko tego wszystkiego, zaliczony do stada niewolników carskich, kroczyć musi środkiem ulicy, jak zwierzę gnane na zabicie!

Na punkcie zbornym, złożonym z długiego szeregu budynków drewnianych, stanowiącym jakby oddzielne miasto, panował zgiełk, zamęt i chaos niesłychany. Najrozmaitsze gatunki broni, transporty obozowe, tłumy nieumundurowanych jeszcze rezerwistów spotykały się z sobą, wymijały lub często bardzo mieszały w nieładzie. Wszędzie panował ruch gorączkowy, ale nieujęty w jedną systematyczną całość, pozbawiony ducha organizacyjnego, zdolnego wytworzyć porządek wśród mas największych. Znaczny oddział dragonów, pułk a może więcej nawet, postępujący w całym rynsztunku, nagle wstrzymanym został w pochodzie setkami wozów napełnionych prowiantem, które literalnie zatamowały mu drogę; opodal stał długi szereg zaprzężonych po sześć koni armat, gotowy do wymarszu a od godzin wyczekujący na amunicyę, po którą napróżno wysyłano umyślnych posłańców. Konni adjutanci plątali się po obszernych placach, nie wiedząc jak wypełnić lub komu oddać

wydane im rozkazy; w jednem miejscu stary jenerał z czerwoną i opuchniętą twarzą krzyczał głośno na stojących obok oficerów; opodal cały tłum kupców w długich czarnych kapotach dysputował gorąco z urzędnikami intendentury, nie brak było na placach innych cywilnych, tu i owdzie przesuwała się młoda kobieta w jaskrawym stroju, obrzucająca wyzywającem spojrzeniem spotykanych oficerów.

Oddział rezerwistów przybyły z Królestwa, do którego należał Stanisław, składający się obecnie z kilkuset ludzi, po długich pytaniach skierowanym został na jeden z placów, a spotkany po drodze oficer służbowy polecił mu czekać na wskazanem miejscu. Zapomniano widocznie o zdrożonych biedakach, którzy zmęczeni, głodni, pozostawali długie godziny w dręczącem oczekiwaniu; dozorujący podoficerowie nie pozwolili nikomu oddalić się na krótki nawet przeciąg czasu. Ku wieczorowi zaczęli zjawiać się na placu przekupnie, roznoszący na głowach pieczywo oraz napój zwany kwasem, powitani radośnie przez łaknących rezerwistów. Stanisław, wyróżniający się dodatnio powierzchownością i zachowaniem z pomiędzy okolicznościowych swoich towarzyszy, cieszył się pewną powagą wśród dozorujących podoficerów i obecnie zdołał nakłonić ich do wysłania jednego z pomiędzy siebie w celu przypomnienia odnośnej władzy o wyczekujących. Fakt ten po pewnym czasie okazał się skutecznym, przybyły oficer zaprowadził oddział do pustych sal jednego z obszernych budynków drewnianych i tu rozlokowano czasowo przybyłych; naraz rozpoczął się gwałtowny ruch, nie pozbawiony cech nieładu; sprawdzano listy, ściągano zeznania, kompletowano dokumenty, formowano różne protokóły, następnie zaś przyniesiono zgłodniałym pokarm, złożony z zupy wątpliwego koloru, zapachu i smaku, oraz porcye chleba. Wreszcie rozdzielono przybyłych pomiędzy oddziały

wojsk, do których każdy z nich został zaliczonym i rozprowadzono do koszar.

Późnym dopiero wieczorem Stanisław znalazł się w koszarach pułku pieszego, do którego należał; wszystko ograniczyło się dzisiaj na wskazaniu mu drewnianego tapczanu, ubogo zasłanego zmierzwioną słomą, na którym miał noc przepędzić. Znużony nad wyraz kilkodniowym pobytem w wagonie bez rozbierania, umieścił się prędko na niewybrednem łożu i usnął z myślą o mieszkańcach Szczekarzowa. Rano zbudził go odgłos bębnów i trąb; zerwał się doprowadzając do porządku myśli, rozstrzelone na razie pomiędzy rzeczywistością a sennem marzeniem. Twarda świadomość obecnej sytuacyi jakże różną była od tak niedawno przeżywanych dni we własnym majątku. Tam dźwięk nastawionego własną ręką budzika przerywał cichy i spokojny sen po normalnie przepędzonym dniu poprzednim; wstawał wypoczęty z wygodnego, chociaż pozbawionego miękkości, łóżka do pracy przewidzianej wczoraj w szczegółach, a jeśli kapryśna pogoda nie dozwoliła na urzeczywistnienie obmyślanego planu, inne równie pożyteczne zajęcie pochłaniało go w całości; tak upływał jeden dzień za drugim, przynosząc pożytek zjednoczonym wspólną myślą pracownikom.

Dzisiaj gdy zerwał się ze snu na wstrętny odgłos obcych mu wojennych trąb i bębnów, inne czekały go sprawy. Pierwszą czynnością, jakiej musiał poddać się, było kompletne wyekwipowanie wojenne; cywilne ubranie zamienił na mundur żołnierza rosyjskiego, uzbrojono go ciężkim karabinem. Przypomniał sobie czasy poprzedniej służby wojskowej, wówczas jednak był człowiekiem wolnym, bez obowiązków, bawiła go nowość i rozmaitość; dzisiaj powtórnie zostaje żołnierzem wśród zmienionych zupełnie warunków, oderwany od rodziny i pracy ma walczyć z narodem, który nie-

tylko nic mu nie zawinił, ale przeciwnie pociąga go ku sobie sympatycznymi rysami ładu, porządku i pracy.

V.

Ogólny charakter ruchu w olbrzymim zbornym punkcie w Charkowie posiadał specyalne, oryginalne cechy i właściwości. Szczegółem, który jaskrawo rzucał się w oczy Stanisławowi, był zupełny brak entuzyazmu wojennego, ożywiającego każdą armię w chwili wyprawy wojennej. Tutaj, biorąc ogółem na uwagę oficerów i żołnierzy, jedne twarze nosiły piętno zaambarasowania, inne wprost niechęci, większość cechowała obojętność zupełna, graniczącą z apatyą. Tłumy te, dążące na bój o życie lub śmierć, sprawiały wrażenie wprost przygnębiające; podobnego wyglądu w przededniu wojny nie posiadała dotąd żadna armia na świecie.

Pułk, w którym znalazł się Stanisław, podobny zresztą ogólnym charakterem do innych, stanowił etnograficzną mieszaninę; prawdziwi Rosyanie z gubernii centralnych cesarstwa stanowili w nim zaledwie trzecią część, tyleż prawie wynosili Małorosyanie (Rusini) i Polacy; reszta składała się z Łotyszów, Finlandczyków, Niemców, Żydów, Finów, Tatarów, Karaimów oraz plemion syberyjskich. Ludzie ci, zegnani pod jeden sztandar, milcząco pytali się wzajemnie, czy jest nić, wiążąca ich wspólnie; czy istnieje pomiędzy nimi cel ogólny, dla którego mają poświęcać życia własne.

Na trzeci dzień po przybyciu do Charkowa, Stanisław uzyskał na usilne żądanie parogodzinny urlop na miasto; oczekiwał tej chwili z gorącem upragnieniem, to też znalazłszy się wreszcie na ulicy, szybkim krokiem podążył w stronę centralnej poczty według kierunku wskazanego przez zapytanego przechodnia. Nadzieja go nie zawiodła, odebrał list zaadresowany poste-restante,

a ten list mógł być tylko ze Szczekarzowa — jedynie od Stefci. Drżał z niepokoju i rozrzewnienia, otwierając kopertę. Tak to ona, jego jedyna, obecnie droga podwójnie pisała do niego długo, z tęsknotą; Stanisław rozkoszował się znanym mu dobrze kształtem liter, ukochanym jak wszystko, co od niej pochodziło. Od chwili rozłąki, pisała, nic nadzwyczajnego nie zaszło, tylko jego brak w każdej chwili i na każdem miejscu, brak niczem niezastąpiony; dotąd jest zdrową, matka cicho popłakuje, ale spokojniejszą jest, niż w pierwszych momentach; rządca przybył przed paru dniami; interesanci rozumieją powód wyjazdu i względnymi są dotąd, zachowują się nawet z sympatyą i współczuciem; oto krótka treść długiego listu. Stanisław przebiegł go na ulicy, zaszedł do lokalu publicznego, usiadł na uboczu i zagłębił się nanowo w czytaniu. Wyrazy zapisanych kartek przywiodły mu żywo na pamięć postać piszącej, Stefcia stanęła jasno przed jego oczami, po za nią widział schyloną i płaczącą matkę, dalej rysował się tłum domowników, dworek wiejski — cały Szczekarzów odtworzył się w jego pamięci. Pozostawił niedopitą szklankę piwa, zapłaciwszy za nią, wyszedł na ulicę i do końca godziny urlopu błądził po mieście, pozostając ciągle pod silnem wrażeniem otrzymanego listu. W ciągu nocy śnił nieustannie o oddalonym zakątku rodzinnym i pozostawionych tam drogich istotach.

Tymczasem na punkt zborny prawie co godzina napływały nowe partye rezerwistów, dowożone pociągami z różnych krańców olbrzymiego państwa; cały okręg wojenny charkowski, jeden z największych, postawionym został na stopie wojennej. Sceny nieładu i nieporządku, jakich od chwili przybycia był świadkiem, obecnie powtarzały się nieustannie w zwiększonych jeszcze rozmiarach, wskutek rosnących stopniowo zastępów rezerwistów. Wyruszenia na plac boju oczekiwano ka-

żdego dnia; żołnierz rosyjski trzymanym jest zawsze w zupełnej nieświadomości tego wszystkiego, co go najbliżej obchodzi. Na drugi dzień jednak po odebraniu listu przez Stanisława, pułk, do którego należał, nagle i niespodziewanie otrzymał rozkaz wyjazdu; w pierwszej chwili sądzono powszechnie, że już udają się na wojnę; pod tem też tak bardzo przygnębiającem wrażeniem opuszczali żołnierze dworzec charkowski; wkrótce jednak uderzył uwagę przytomniejszych kierunek pociągu, którym zdążali. Zamiast udawać się ku północo-wschodowi, wieziono ich w stronę zupełnie przeciwną na zachód, a cel podróży, stanowiący i tym razem tajemnicę, był tematem najróżnorodniejszych domniemań. Po przebyciu kilku stacyj zatrzymano pociąg i wkrótce zagadka została wyjaśnioną; pułk ten miał stanowić część tak zwanej ochrony toru kolejowego wobec mającego nastąpić przejazdu pociągu z carem, udającym się żegnać i błogosławić wojska, odchodzące na wojnę. Wiadomość podawana z ust do ust lotem błyskawicy obleciała żołnierskie szeregi, ciężar wielki spadł z niejednej piersi — a więc jeszcze nie do Japonii!!!

Po zatrzymaniu się, rozłożono pułk po obu stronach toru i natychmiast kazano zająć stanowiska; pierwszy szereg stał na samym plancie, żołnierz od żołnierza w odległości dwustu kroków ze zmianą co dwie godziny; dwa następne szeregi, nieco rzadziej obsadzone, rozmieszczono w pewnem oddaleniu od toru. Ochrona strzeże całości linii kolejowej i bezpieczeństwa cara przeciwko zamachom, tak przed przybyciem jak i podczas samego przejazdu jego pociągu. Stanisław jako podoficer przy tej czynności miał nadzór nad dwunastoma szeregowcami; obowiązanym był nieustannie czuwać nad nimi w ciągu sześciu godzin, po których następował tyleż trwający wypoczynek. Tor kolejowy w tem miejscu ciągnął się matematyczną prawie linią prostą po małym

nasypie przez step okiem niezmierzony; brak drzew a stąd cienia wobec słońca wiosennego stanowił ujemną stronę na stanowiskach; w pewnem oddaleniu od toru rozbito namioty, służące dla wypoczynku nie pozostającym w służbie. Okolica była pustą i bezludną; oprócz przesuwających się co pewien czas pociągów, oraz zaopatrzonej w specyalne karty legitymacyjne służby kolejowej, nie było ruchu żadnego na całej widzianej przestrzeni; przy tych warunkach czynność ochrony wojskowej w tej miejscowości posiadała jedynie znaczenie formalne.

W liczbie dwunastu podkomendnych Stanisława znajdowało się trzech rezerwistów z gubernii kurskiej, stanowiących typowe postacie włościan wielkoruskich. Wszyscy wysokiego wzrostu, kolosalnej budowy, z długiemi brodami tak byli do siebie podobni, że Stanisław w ciągu pierwszych kilku godzin nie umiał ich odróżnić. Nietylko cechy zewnętrzne powierzchowności łączyły tych ludzi, zdawali się mieć jednakowe usposobienia i charaktery; milczący, ponurzy, zamknięci w sobie, nie ukrywali jedynie niezadowolenia z powodu powołania ich do armii czynnej. Jeden szczególniej rys charakterystyczny uderzał w nich obserwatora; pozostawali nieustannie w złych humorach, uśmiech na chwilę nawet nie postał na ich posępnych twarzach, a rzadko wymawiane przez nich słowa były najczęściej złorzeczeniem lub przekleństwem. Nie ujawniając zupełnie uczucia religijnego, przeciwnie nawet wykazując pewną obojętność w rzeczach wiary, przy każdej jednak sposobności używali znaku krzyża świętego, który w ich mowie zastępował zadziwienie, przestrach, zapytanie, nawet wyraz podzięki lub wdzięczności. Trzymając się zdala od towarzyszy broni stronili i od Stanisława, nazywając go w nieurzędowych stosunkach »polskij pan«, a niechęć ku niemu okazywali bez ukrywania, chociaż młody czło-

wiek nie dawał do tego najmniejszego powodu. O ile dotąd mógł zauważyć, wypełniali oni ściśle włożone na nich obowiązki i nie zasługiwali na napomnienia.

Półtorej doby przeszło na wyczekiwaniu pociągu carskiego, czas przejazdu, który zapewne wiadomym był starszyznie, tajemnicę stanowił jednak dla szeregowców; w okresie tym nikt podejrzany nie zbliżał się do toru, cała więc działalność ochrony ograniczała się do biernego wyczekiwania, przerywanego czasami przejazdem dygnitarza wojskowego, kontrolującego czujność straży lub też inżyniera sprawdzającego ostatecznie całość drogi. Pod wieczór drugiego dnia zauważyli żołnierze ożywiony ruch pomiędzy starszyzną; wnet wszystkie pociągi osobowe, wojskowe i towarowe po linii kursować zaprzestały; wszystko to wskazywało na przybliżanie się momentu najważniejszego, który też niebawem nastąpił. Podano sygnały, straż stała w naprężeniu, oficerowie przybrali uroczyste pozy, jak gdyby spoczywało już na nich oko monarsze, chociaż według wydanego rozporządzenia w chwili przejazdu wojsko zwolnionem zostało od oddawania honorów. Na krańcu odległego horyzontu ukazał się ciemny punkt, rosnący szybko, przelatujący linię nakształt huraganu; to lokomotywa z jednym tylko wagonem, jak należało wnosić, poprzedzająca pociąg cesarski. Wreszcie przesunął się i ten ostatni — mignął szybko, cicho zupełnie, nie wydając przejazdem najmniejszego hałasu; specyalne obręcze u kół tamowały wszelki turkot, nawet hałaśliwe lokomotywy zamienione zostały na niemowy. Stojący wzdłuż linii widzieli momentalnie przelatujące kolosy wagony, przed ich oczami błysły orły złocone — za chwilę jednak wszystko już znikło w oddaleniu. Podczas samego przejazdu dwa dalsze kordony ściągnięto, żołnierz stał od żołnierza w oddaleniu pięćdziesięciu kroków, co z okien szybko mknącego pociągu sprawiać musi wrażenie nieustającego szpaleru

wojsk po obu stronach linii. Składową cząstką tego szpaleru był dziedzic szczekarzowski, któremu jedna myśl pod tę chwilę zabłysła w umyśle, że od tylko co widzianego lecącego pałacu mniej wygodnym, ale bezpieczniejszym jest wagon na osiem koni lub czterdziestu ludzi.

Oddziały wojska, stanowiące ochronę, po przejeździe strzeżonego pociągu, wycofano szybko z linii kolejowej i odstawiono do miasta, gdyż cały garnizon charkowski miał prezentować się carowi przed wyruszeniem na pole walki. Na obszernym placu broni uszykowano kilkadziesiąt tysięcy wojska w mundurach odświętnych, z tornistrami i całym rynsztunkiem; przeważała liczbą piechota w sile kilku dywizyi, niemniej pokaźnie jednak stawiła się konnica i artylerya. Tym razem szyki postępowały sfornie, pojedyncze oddziały odrazu odnajdywały swoje miejsca, panował ład i porządek; przeglądy i parady pokojowe stanowiły widocznie rzecz łatwiejszą do wykonania dla tej armii, ruch zaś wojenny wyprowadzał z sytuacyi normalnej, wywoływał zamieszanie, prowadził do chaosu.

Zaledwie ustawiły się wojska, odgłos muzyk wojennych, niezbyt harmonijny, zwiastował przybycie monarchy. Pułk Stanisława umieszczonym został w miejscu dość oddalonem od głównego frontu, gdyż względna obszerność placu nie pozwalała na rozwinięcie jednej linii wojska, które połamane w kilka szeregów, ustawionych jeden za drugim, zajmowały cały głąb przestrzeni. Wskutek tego Stanisław przyjmując udział w przeglądzie, widział bardzo niewiele a nie słyszał zupełnie mowy cara. Parada rozpoczęła się od głośnego »hurra«, którem wojsko witało swojego monarchę; był to właściwie niesforny krzyk, wydobyty z kilkudziesięciu tysięcy gardeł, pozbawiony zupełnie cechy estetycznej; następnie car w otoczeniu dość licznej świty objeżdżał

szeregi szybkim kłusem; i wówczas poprzedni krzyk powtarzał się; na mniejszą jednak skalę, gdyż wydawały go kolejno pojedyncze oddziały wojsk w odpowiedzi na słowa panującego, które jednak nie doszły do uszów Stanisława; sama postać monarchy, przejeżdżającego tuż koło niego nie zaimponowała mu powierzchownością. Na młodej jeszcze, okolonej niewielką brodą twarzy, o drobnych i dość sympatycznych rysach, malował się wyraz znużenia. Całość postaci stanowiła przeciętną figurę rosyjskiego oficera z dość intelligentnym wyglądem, w zwykłej szyneli na niczem niewyróżniającym się koniu; oczu patrzącego nie uderzał majestat potężnego władzcy. Dziwna analogia panowała pomiędzy szarymi tłumami wojska, pozbawionego zarówno błyszczących mundurów i zbroi jak rycerskiego wyglądu i prawdziwie wojennego ożywienia, a głównym wodzem, nie wzbijającym się nad te tłumy.

Po skończonym objeździe odbyła się defilada zgromadzonych wojsk przed obliczem monarchy; Stanisław postępował na skrzydle swojego szeregu i po raz drugi widział znużoną twarz cara. Paradę zakończyło przemówienie panującego, z którego ani jedno słowo nie doszło do uszu Stanisława, oraz błogosławieństwo udzielone idącym na bój oddziałom. Cała powyższa ceremonia nie wywarła najmniejszego wrażenia na naszego zesłańca, który czuł się najzupełniej obcym duchem wszystkiemu co widział; mógł atoli zauważyć jednocześnie, że ogólny nastrój wojska był bardzo zbliżonym do jego stanu; naokoło siebie widział obojętne lub apatyczne twarze, często zaostrzone wyrazem niezadowolenia, nigdzie zaś zapału ani entuzyazmu, ożywiającego szeregi w przeddzień walki, a będącego niechybnym zwiastunem zwycięstwa.

Car wypełnił swój obowiązek, pobłogosławił na śmierć tysiące, siadł do pociągu i odjechał żegnany znowu okrzykami żołnierzy; podróż powrotna odbywała

się również pod ochroną wojska rozstawionego na linii, ale tym razem przeznaczone do tego zostały inne oddziały. Bezpośrednio prawie po jego wyjeździe nastąpił niespodziewany dla Stanisława epizod, w którym on wbrew woli zmuszonym był wziąć udział. Zaledwie wojska powróciły do koszar i spożyły obiad, przed którym dzisiaj wyjątkowo z powodu bytności cesarza każdy żołnierz otrzymał czarkę wódki z osobistych funduszów monarchy, część kompanii, tak nazwany zwód, do którego należał Stanisław, pod wodzą oficera, z bronią w ręku wyruszył w nieznanym kierunku; po niedługim czasie znaleźli się na placu zamiejskim, na którym gromadziły się jednocześnie takie same oddziały z innych pułków, oraz różnych gatunków broni. Przybyłych ustawiono w trzy szeregi, formujące trzy boki prostokąta; nikt nie wiedział w jakim celu zostali powołani, uderzała jednak ta okoliczność, że wszystko odbywało się w nadzwyczaj przyśpieszonem tempie. Za chwilę oddział złożony z kilkunastu saperów przystąpił do kopania ziemi w środku utworzonego przez wojsko prostokąta; w jednej chwili powstały trzy doły, obok których sypano wydobywaną z wewnątrz ziemię; tuż koło utworzonych otworów wbito trzy słupy drewniane, każdy około dwóch metrów wysokości. Wówczas otworzyły się oczy Stanisławowi, zrozumiał o co chodzi i cała natura jego wzdrygła się ze wstrętu i oburzenia: czyniono przygotowania do egzekucyi, której zmuszają go być świadkiem. Odgadło to również wielu z obecnych i wkrótce podawane cichym szeptem słowa obiegły zgromadzone oddziały; twarze przybrały wyraz poważny i uroczysty. Ludzie ci, sami w blizkiej przyszłości narażeni na śmierć, drżeli jednak na myśl oczekiwanego widoku. Nadjechała starszyzna, paru jenerałów z orszakiem kilkunastu oficerów różnych rang; na komendę oddziały wyrównały się i przybrały frontowy szyk. Zapanowała cisza uroczysta, wśród któ-

rej usłyszano zdaleka nadjeżdżające wozy w otoczeniu polowych żandarmów na koniach z dobytemi szablami. Wozów było trzy, a na każdym z nich siedział delikwent w towarzystwie duchownego prawosławnego w czarnej ryzie. Osądzeni nosili mundury podoficerów artyleryi; krok ich w chwili opuszczania wozów był pewnym, lecz twarze marmurowo blade; jeden z nich szczupły, wysoki blondyn, nadzwyczaj sympatycznej powierzchowności, zwracał szczególnie na siebie uwagę. Szybko przystąpiono do przedwstępnych czynności odczytania wyroku i pojednania skazańców z Bogiem. Wojenny audytor donośnym choć bezbarwnym głosem odczytał wyrok, określający winę podsądnych ogólnikowem i nic nie wyjaśniającem wyrażeniem: »zbrodniczej propagandy«. Z chwilą gdy nieszczęśliwi zbliżyli się do duchownych w celu ucałowania podawanego im krzyża, Stanisław skierował wzrok ku ziemi; pierwszy raz był świadkiem egzekucyi i to w tak niespodziewany sposób. Dziwne wstrząsały nim uczucia: traceni byli dla niego obcymi całkiem, wina ich nieznaną najzupełniej, a jednak nie zdając sobie bliżej sprawy, czuł, że przeżywa chwilę straszną; we wnętrzu jego mózgu, w ognisku myśli jakieś nieznane, nowo-powstające »ja« szarpało się i rwało boleśnie. Gdy tak stał przybity i przygnębiony, wokoło panowała szczególna cisza; wobec zebranych paru tysięcy ludzi słychać było szmer przelatujących w powietrzu owadów, nagle rozległ się trzask salwowego ognia, powtórzony echem. Huk strzałów wydał się Stanisławowi cichym i oddalonym; ten kulminacyjny punkt tragicznej chwili, przy obecnym jego nastroju psychicznym przesuwał się bez odpowiedniego wrażenia; zapanowała nowa cisza, Stanisław drgnął dopiero na głos komendy oficera i jakby wrócił do przytomności. Widowisko było skończone, oddział skierowano z powrotem do koszar. Podczas drogi, odzyskując stopniowo jasność myśli, zau-

ważył, że proste natury żołnierskie pozostawały również pod silnem wrażeniem spełnionej egzekucyi. Dowiedział się z prowadzonych rozmów, że skazani rozszerzali pomiędzy wojskiem drukowane odezwy, wzywające do nieposłuszeństwa władzy i do masowego opuszczania szeregów. Powyższe szczegóły podawano sobie bez wszelkich komentarzy; instynkt zachowawczy tych ludzi krępował im usta, nie było mowy o słuszności kary ani też wyrazów współczucia dla rozstrzelanych. Stanisław wobec samego siebie wykonaną egzekucyę określił mianem ulegalizowanego morderstwa.

Ostatnie dni obfite były dla Stanisława w szereg niespodziewanych zdarzeń, a niepodobne zupełnie do przebytych poprzednio podczas monotonnej drogi w wagonie. List od Stefci, wycieczka na ochronę, przegląd carski, stracenie nieszczęśliwych, wszystko to następowało bezpośrednio jedno po drugiem, ostatni zaś fakt siłą wywartego wrażenia górował nad poprzednimi, a otrzymana całość nie oddziaływała dodatnio ani uspokajająco na jego umysł; przeciwnie coraz bardziej buntował się on przeciwko warunkom obecnego życia, w które go wepchnięto wbrew woli, brutalnie i gwałtownie. Noc całą przepędził prawie bezsennie, przewracając się z boku na bok na twardem łożu; jakże chętnie wstałby w tej chwili i przebył kilka godzin na świeżem powietrzu wśród samotności i ciszy, ale nawet ta niewinna przyjemność jest mu wzbronioną; skazany na życie automatu, musi obracać się we wskazanym kierunku, osobista wola jego nie istnieje; jest stutysięczną cząstką armii, bezdusznej masy, gnanej na bezcelowy łup zniszczenia i śmierci. Co za niesłychana zmiana zaszła w jego egzystencyi w ciągu tak krótkiego czasu, niespełna nawet miesiąca. Jego droga Stefcia, matka, Szczekarzów majaczeją dzisiaj w jego pamięci, jak oddalone obrazy odległej przeszłości, a przecież to wszystko tak nieda-

wno, zdawało się, połączonem było nierozerwalnie z jego egzystencyą. Co porabiają osieroceni bez niego; nie może, jakby pragnął, dosyć często mieć od nich wiadomości, gdyż nie jest w stanie wskazać im swojego adresu; tutaj w Charkowie odebrał jeden list, ale następny ma być wysłanym aż do Czelabińska, gdyż nie wie w jakich miejscowościach pułk zatrzyma się poprzednio na dłuższy postój. Sam pisuje często, bardzo często, ale rodzina jest pozbawioną możności ku temu. Tęsknota jaka go przygniata, nie zmniejsza się obcowaniem z ludźmi; pozostając pośród tysięcy, odczuwa najzupełniejszą samotność, niema z kim podzielić myśli swoich, przemówić kilka słów w języku ojczystym. W pułku jego znajduje się pewna ilość Polaków, ale zbiegiem okoliczności mniej, niż w innych; od czasu do czasu dolatują go dźwięki mowy rodzinnej, ale od przybycia do Charkowa parę razy zaledwie mówił po polsku. Faktem jednak, który w chwili obecnej najsilniej oddziałał na całą istotę Stanisława i odjął sen z jego powiek, była egzekucya nad artylerzystami. Pozostawał dotąd w stosunkach życiowych, które nie dawały pola do rozwoju w nim ogólno-rewolucyjnego ducha, ale intelligentny jego umysł i zacny charakter pozwoliły mu pojąć dokładnie i zrozumieć całą doniosłość tragicznej sceny. Jako Polak, czuł wstręt do obecnej wojny, która wyrwała go z łona rodziny i ogniska pracy, a nie pozostawała w najmniejszym związku z interesami jego narodowymi; cała więc jego sympatya skłaniać się musiała ku ludziom, którzy będąc Rosyanami, w imię zasad ogólno ludzkich występowali przeciwko tej wojnie. Nieszczęśni padli ofiarą w stokroć nierównej walce; poświęcili i oddali życie w imię zasad nierównie szczytniejszych niż te, które powołują zastępy wojenne ku Japonii.

VI.

Od wczesnego poranku dnia następnego rozpoczął się nowy rodzaj ruchu na punkcie zbornym, mianowicie stopniowa ekspedycya wojsk na teren walki, wstrzymywana do chwili obecnej w oczekiwaniu na przyjazd cara. Co parę godzin wyruszał ze stacyi charkowskiej olbrzymi pociąg z żołnierzami i taborem, z powodu jednak nagromadzonej w tem mieście znacznej ilości wojsk, ubytek ostatniego na punkcie zbornym był stopniowy, z początku dla oka mało widoczny. Jedna okoliczność zwróciła uwagę Stanisława. Oto żołnierze każdego pułku w dniu poprzedzającym ich odjazd znajdowali się w stanie nietrzeźwym; ponieważ fakt ten powtarzał się systematycznie stale, doszedł do przekonania, że dzieje się to nietylko z wiedzą ale z wolą władzy. Do tego czasu panował pewien ład w koszarach, żołnierzom nie wolno było oddalać się do miasta bez pozwolenia, które udzielano z trudnością, wypadki zaś upicia karano aresztem. Obecnie położenie rzeczy uległo zupełnej zmianie; żołnierze nie tylko nietrzeźwi, ale często bardzo pijani włóczyli się bezkarnie po placach koszarowych i po ulicach miasta. Echo niesfornych pieśni sołdackich, przypominających raczej wycie zwierząt, niż głos ludzki, do późnej nocy rozlegało się po obozie; od czasu do czasu przynoszono z miasta na rękach żołnierza, znajdującego się w stanie zupełnie nieprzytomnym; wówczas odszukiwano jego narę i układano go na niej, a spity nie podlegał za to w następstwie żadnej odpowiedzialności. Nierzadko sceny przybierały jeszcze bardziej jaskrawy charakter, podochoceni rozpoczynali pomiędzy sobą kłótnie, kończące się bójką, lecz wtedy czuwająca na uboczu straż bezpieczeństwa rozdzielała przedwcześnie walczących, jakkolwiek zdarzały się często wypadki pobicia kryjącego się w kącie żydka-żołnierza. We wszystkich

tych wybrykach przyjmowali udział wyłącznie Rosyanie i Małorusy; żołnierze innych narodowości zajmowali rolę widzów, dyskretnie trzymając się na uboczu. Stanisława patrzącego na to wszystko zdaleka, zastanawiała oprócz moralnej strona ekonomiczna rzeczy widzianych, mianowicie skąd żołnierze czerpią fundusze na wódkę, płynącą tutaj tak obficie. Wkrótce jednak przyszła kolej i na jego pułk, a wówczas jako bezpośredni świadek znalazł odpowiedź na powyższe pytanie.

Ósmego czy dziewiątego dnia licząc od rozpoczęcia ekspedycyi wojsk, o wczesnej godzinie znalazł się w koszarach niespodziewanie dowódzca pułku i tonem nieoficyalnym zwiastował żołnierzom, że dzień dzisiejszy mają wolny od zajęć i mogą poświęcić go odpoczynkowi i zabawie. Nie wymienił powodu nieobjętego kalendarzem święta, wszyscy jednak odgadli z łatwością, że dzień ten jest wigilią odjazdu ich na teren wojenny. Jakkolwiek wiadomość ta od paru tygodni każdej godziny była wyczekiwaną, nie przeszła jednak bez odpowiedniego wrażenia; myśl że z dniem jutrzejszym rozpoczyna się już ciemna a nieznana przyszłość, opuszczenie kraju, do którego niewiadomo kto powróci, odbiła się niewesoło na twarzach żołnierzy. Wyjątkowo z pomiędzy nich piśmienni zaczęli zabierać się do redagowania listów, zawiadamiających rodziny o wyjeździe. W tym czasie w obszernych izbach koszar znalazły się najniespodziewaniej w obfitej ilości naczynia z wódką, niewiadomo przez kogo przyniesione; ostatnia kwestya obojętną była dla żołnierzy, którzy bezzwłocznie przystąpili do zatopienia w ożywczym nektarze zgryzot swoich i smutków. Humory w jednej prawie chwili uległy zmianie, twarze poczęły się ożywiać, wesoły gwar zastępował miejsce poprzedniego ponurego milczenia. Naczynia w krótkim czasie zostały wypróżnione, lecz na miejsce ich znalazły się nowe, pełne, biesiada przybierała coraz swo-

bodniejszy charakter. Stanisław nie chciał zrażać do siebie towarzyszy i chociaż niechętnie wypił razem z nimi jedną a następnie i drugą czarkę. Podany o zwykłej porze pokarm, tak zwany obiad, okazał się dnia tego obfitym co do ilości mięsa i lepszym ze względu na omastę, niż zwykle. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że koszta całej libacyi ponosi skarb; nie skończyło się jednak na tem tylko; każdy żołnierz otrzymał z rąk feldfebla czetwiertak, to jest dwadzieścia pięć kopiejek, podoficerowie zaś po pół rubla na wydatki w mieście. Nie sposób było odmówić przyjęcia tych pieniędzy, paliły one jednak Stanisława jak rozpalone żelazo, namyślał się na jaki cel je przeznaczyć, postanowił wreszcie wrzucić do skarbonki dla biednych, umieszczonej przy wejściu do świeżo wzniesionego kościoła katolickiego. Koszary, w których mieścił się pułk, wyludniły się zupełnie, żołnierze w podochoconych już humorach udali się na miasto; Stanisław zapragnął również skorzystać z udzielonej swobody i samotny skierował się ku dzielnicy, w której zbudowano katolicki kościół. Po złożeniu okolicznościowego datku błądził po ulicach miasta, które znał dobrze z poprzedniego w nim postoju. Myśli jego w związku z jutrzejszym wyjazdem krążyły jak zwykle około jednego przedmiotu; pragnął jaknajprędzej znaleźć się w Czelabińsku, gdzie oczekiwać na niego będzie list ze Szczekarzowa. Postępując usłyszał zdaleka krzyki uliczne i spostrzegł w kierunku przed sobą tłum zgromadzony; nie zbaczając z drogi dotarł do miejsca zbiegowiska. Podchodząc już zauważył pomiędzy cywilnymi przeważającą ilość żołnierzy, a w ich liczbie wielu z pułku, do którego sam należał. Nie mieszając się z tłumem stanął na uboczu i prędko zrozumiał charakter zajścia. Żołnierze wpadli do rządowego sklepu wódczanego, tak nazwanej monopolnej ławki, i rabowali go plądrując. Drzwi były za ciasne dla pchających się wewnątrz i wy-

chodzących z szynku; w chwili nadejścia Stanisława dwa okna sterczały już wybite z szyb z wyrwanemi futrynami. Żołnierze przeważnie wchodzili drzwiami i wyskakiwali przez nizko położone okna; każdy z nich trzymał butelki wódki różnej wielkości i najrozmaitszych kształtów; bezustannie jedni zmieniali drugich. Naczynia otwierano bez korkociągów za pomocą uderzeń dłonią w dno butelki i wypróżniano je tuż obok sklepu na ulicy. Większe flaszki starczyły dla kilku pijących i krążyły z rąk do rąk podawane tym, którzy nie zdołali wtargnąć do wnętrza składu; mniejsze chowano po kieszeniach. Sami żołnierze uwijali się prędko i sprawowali względnie dosyć spokojnie, hałas pochodził od zebranego tłumu cywilnych, który z zazdrością przypatrywał się wojskowym, nie ośmielając jednak mieszać się z nimi. Jeżeli można mówić o jakimś rabunku, że odbywał się w porządku, to obecny za wzór powinien być poczytanym. Żadna władza nie pośpieszyła z interwencyą w celu przywrócenia porządku; dwaj policyanci stali na uboczu, założywszy ręce na znak obojętności, przypatrując się zajściu jak najspokojniej. Dozorca sklepu rządowego, rodzaj podurzędnika, dymisyonowany oficer, skapitulował na samym początku, nie mogąc walczyć z przeważającą siłą; szybko wycofał się z lokalu i przyłączył do tłumu widzów. Nie gniewał się zupełnie na rozochoconych żołnierzy, zrozumiał bowiem, że na obecnej awanturze może zarobić, wykazując w raporcie większą nad rzeczywistą ilość zrabowanych trunków.

Stanisław, stojąc w pewnem oddaleniu, przypatrywał się oryginalnemu widokowi; w tłumie, liczącym kilkuset żołnierzy, trzeźwych nie było już zupełnie, a wszyscy różnili się tylko pomiędzy sobą stopniem upicia. Wówczas, gdy pewna część znajdowała się już w stanie zupełnej niepoczytalności, znaczna większość należała tylko do dobrze podochoconych; niemniej uderzała

okoliczność, że u ludzi tych w chwili obecnej zjawił się nieistniejący poprzednio animusz wojenny. Wszystkie pijane rozmowy zwrócone były w tym kierunku: car, wiara prawosławna, której wybierali się bronić, nie schodziła z ust nieprzytomnych patryotów. Stanisław zmęczony widokiem, który w rezultacie wywołał w nim uczucie wstrętu, opuścił wobec zbliżającej się pory wieczornej coraz głośniej awanturujących się żołnierzy, kierując się ku koszarom.

Długo w noc przeciągał się powrót pijanych żołnierzy do koszar; jedni z trudem nadciągali na własnych nogach, innych przynoszono w stanie nieprzytomnym.

Wynikły z tego nieustający hałas oraz jutrzejszy wyjazd spłoszyły sen z powiek Stanisława; prawie całą noc przepędził, borykając się z napływającemi myślami. Dopiero koło południa skierowano pułk ku dworcowi; na twarzach żołnierzy malowały się ślady wczorajszych nadużyć, oblicza przybrały poprzedni wyraz posępny, chociaż w chwili odejścia pociągu wyjeżdżających nie żegnały rodziny, przyjaciele ani znajomi; Charków był dla wszystkich miastem obcem, stanowił jednak ostatnią dłuższą stacyę przed opuszczeniem kraju rodzinnego. Stanisław nie podzielał zapatrywań przygodnych swoich towarzyszy, on od miesiąca przebywał już na obcej ziemi; bezczynność, wśród jakiej przepędził większą połowę czasu na zbornym punkcie, czyniła położenie jego jeszcze przykrzejszem, pragnął zagłuszyć się pracą i wrażeniami. Wiedział, że z obecnej sytuacyi niema na razie wyjścia, wolał więc posuwać się naprzód, niż stać na miejscu; przekładał ostateczny rezultat, jaki by nie miał nastąpić, nad teraźniejsze położenie.

Takie były jego myśli, gdy nieskończenie długi pociąg wojenny przy dźwiękach muzyki wyruszył wolno z dworca charkowskiego. Stanisław obrzucił wzrokiem obszerny, kryty wagon, który obecnie na dosyć długi

przeciąg czasu miał stanowić jego koszary. Oryginalny ten lokal, przeznaczony na czterdziestu ludzi, mieścił w sobie przy każdej ścianie podłużnej po dwadzieścia posłań, rozpostartych na podłodze, składających się z rodzaju twardych sienników i poduszek wypchanych słomą; w środku pozostawiono dosyć wązkie wolne przejście oraz co każde dwa posłania mały przedział, służący na umieszczenie koniecznych podręcznych rzeczy każdego żołnierza. Karabiny i tornistry oraz inne rekwizyta wisiały na ścianach pomiędzy oknami; przy jednych drzwiach wchodowych znajdowała się umywalnia, przy drugich zaś mały stoliczek z przyborami do pisania. Wagon ten, jak łatwo zauważył, był przerobionym z bardzo małemi zmianami z towarowego i dla czterdziestu ludzi stanowczo za ciasnym, zwłaszcza przy oczekiwanej długiej podróży; nie było mowy o swobodzie ruchów jadących, którzy jedynie mogli leżeć lub stać w niewygodnej pozycyi jeden obok drugiego lub ostatecznie siedzieć na swoich posłaniach. Perspektywa przepędzenia w podobnych warunkach przeszło miesiąca czasu nie uśmiechała się Stanisławowi; wyobrażał sobie przyjemności i rozkosze takiego bezpośredniego sąsiedztwa z ludźmi nietylko różnej sfery społecznej, ale wprost innego świata i innej kultury. W pierwszych chwilach sądził, że zamknięci samotnie w celach więziennych zbrodniarze znajdują się w dogodniejszych niż on warunkach. Zimny pot i nerwowy dreszcz bezsilnego oburzenia przejmowały go naprzemiany. Z doświadczenia nabytego podczas pierwszej służby wojskowej posiadał pewne chociaż słabe pojęcie o znoszeniu trudów i niewygód, ale to, co obecnie go oczekiwało przechodziło miarą dotychczasowej jego wyobraźni. Pragnąc otrząsnąć się z nader ujemnego wrażenia pierwszych chwil drogi, siłą woli nasuwał swej myśli obrazy domu własnego, czego dotąd

unikał, ale okazało się, że ostatnie wprowadzały go w stan jeszcze silniejszego rozdrażnienia.

Tymczasem towarzysze podróży pod innym zupełnie pozostawali wrażeniem; gdy dźwięki orkiestry umilkły, wagony rozbrzmiewały śpiewem żołnierskim. Wkrótce ujawnił się spory zapas wódki, tak zwanej monopolki, dotąd ukrywany starannie, a stanowiący oszczędność z wczorajszego rabunku. Buteleczki podawane z rąk do rąk krążyły jakiś czas pomiędzy leżącymi na posłaniach żołnierzami, nie wywołały jednak ożywionej rozmowy, która przeciwnie stopniowo słabła; pasażerowie zmęczeni nadużyciem dnia poprzedniego, pomimo silnych wstrząśnień bezresorowych wagonów, wkrótce zaczęli usypiać.

Odtąd rozpoczął się dla Stanisława szereg dni najcięższych w jego życiu. Monotonność drogi, brak koniecznego miejsca dla swobody ruchów, znużenie powiększone fatalną konstrukcyą wagonu, bezpośrednie a nieustanne stykanie się z ludźmi innego świata: innej kultury, ohydny pokarm, oprócz setki innych drobnych szczegółów niewygody, nader uciążliwych z powodu ciągłości, wszystko to walczyło o lepsze z moralnym nastrojem, który pomimo wysiłków woli poddawał się potężniejszym niż ona wpływom. Dla człowieka jego sfery, jego przyzwyczajeń i wymagań straszną byłaby jedna noc, spędzona na zaplugawionem robactwem sienniku, w ciągu której nieustannie czuł na swojej twarzy wstrętny oddech sąsiada — a on takich nocy miał całe szeregi. Następujący dzień nieco zmienione ale nie lepszę przedstawiał warunki: większą jego część przepędzał siedząc na ohydnym swym barłogu; stanie na ganku wagonowym było wzbronionem, a przecież on jako podoficer czuł się moralnie obowiązanym świecić przykładem nienaruszania drobnych nawet rozporządzeń. Pozycya stojąca, tak pożądana przy ciągłem leżeniu i nie-

możebności ruchu, przedstawiała niezwyciężone prawie trudności wskutek nieustannego a nadzwyczaj silnego rzucania się wozu, pozbawionego zupełnie resorów. W pierwszych dniach zwłaszcza nietylko on, ale wszyscy żołnierze podczas ruchu pociągu nie byli w stanie postąpić paru kroków nie przytrzymując się ręką o jakikolwiek przedmiot; w dalszej podróży nabrali wprawdzie pewnej wprawy, dłuższe jednak stanie w tak niewygodnych warunkach było wprost niemożebne. Zdarzały się czasem postoje dłuższe zwłaszcza na stacyach krzyżowych i te też stanowiły prawdziwe chwile wytchnienia; cały jednak rozkład jazdy szwankował nieudolnością i przedstawiał się jako rzecz trafu a nie rezultat systematycznego opracowania; odpoczynki powyższe wypadały niekiedy zbyt często, to znowu długie szeregi godzin zmęczeni żołnierze pozostawali bez przerwy w jadącym pociągu.

Po paru już dniach drogi pewien procent żołnierzy, chociaż należących przeważnie do ludzi przywykłych do niewygody i trudu, odpadł do lazaretów i szpitali wskutek uciążliwości obecnej podróży. Stanisław należał do ludzi posiadających wyjątkowo silną organizacyę fizyczną i nie podległ wprawdzie żadnej obłożnej chorobie, ale położenie, w jakiem znajdował się obecnie, w połączeniu z całym szeregiem wstrząśnień moralnych, targających jego istotą od dość długiego już czasu oddziałały niepomyślnie na system jego nerwów i na cały ustrój duchowy. Często badał samego siebie i dziwił się własnej odporności, ale obserwacye powyższe odnosiły się jedynie do nieodczuwania dolegliwości fizycznych; stan psychiczny uchylał się z pod kontroli osobistej. A jednak to, co ten człowiek przeżywał i przenosił, pomimo wysiłków woli i pracy rozumu zaczynało przechodzić już jego siły. Do trosk i niepokojów, tyczących jego rodziny i majątku, do żalu z powodu wyrwania go

z ogniska domowego i od pracy na ojczystym zagonie, z chwilą wyruszenia pociągu wojennego z Charkowa dołączył się jeszcze jeden dotkliwy ból: zbudził się w głębi jego istoty i rósł w nim coraz potężniej bunt człowieka z powodu podeptania jego praw osobistych. Coraz jaśniej uświadamiał sobie i lepiej rozumiał, że ma wszelką słuszność zaprotestować czynem przeciwko gwałtowi, jaki dokonywa się nad nim, że nawet protest taki, z narażeniem własnej osoby, jest jego obowiązkiem.

Praktyczne urzeczywistnienie powyższych rozumowań, nurtujących Stanisława w ciągu bezsennych nocy, przedstawiało się w jego umyśle pod dwoma postaciami: ucieczki z drogi przy zdarzonej ku temu sposobności lub też po przybyciu już na pole walk przejście na stronę Japończyków. A rozważając myśl swoją, nie uważał planu pierwszego za tchórzostwo, ani drugiego nie mianował zdradą. Pojmanie bowiem na wypadek dezercyi, przy największych nawet ostrożnościach, nie było wykluczonem i pociągało za sobą karę śmierci, na którą Stanisław przy niepomyślnem urzeczywistnieniu pierwszego projektu musiał być przygotowanym i wobec tego nie lękał się zarzutu tchórzostwa. Również sumienie jego spokojnem było na punkcie zarzutu zdrady w razie przejścia do Japończyków; przymusowa walka pod sztandarem wrogów własnej ojczyzny nie tylko nie wchodziła w zakres jego obowiązków, lecz wprost była im przeciwną.

A jednak wykonanie któregokolwiek z dwóch powyższych projektów Stanisław uważał za wprost niemożebne ze względu na osobiste swoje stanowisko w rodzinie; tutaj więc spoczywał cały tragizm jego położenia. Nie wolno mu dobrowolnie narażać się na śmierć lub na wygnanie z kraju, bo życie swoje związał z uczciwą i biedną dziewczyną, która wkrótce ma zostać matką jego dziecka; nie wolno mu ze względu na to ma-

jące przyjść na świat niemowlę; nie wolno wreszcie z powodu matki, sióstr i młodszego rodzeństwa, którzy wspólny majątek oddali w jego ręce.

VII.

Głównym zwierzchnikiem Stanisława był dowódzca kompanii, sztabs-kapitan Iwan Iwanowicz Zdorowienko, najbliższym zaś oficer zwodny, podporucznik Paweł Siemionowicz Ziernow. Obydwaj ci ludzie, z którymi los zetknął powołanego rezerwistę, przedstawiali dwa przeciwległe typy; pierwszy »Małorus« ostatni rdzenny Moskal z gubernii środkowych. Zdorowienko był wzrostu średniego, krępym blondynem, lat koło czterdziestu, ruchliwy i wesoły, zdawał się być uosobieniem otwartości żołnierskiej. Bez wyższego wykształcenia, nie pozował też na nie nigdy; w służbie nie należał do zbyt wymagających, przystępny dla podwładnych, tylko w nadzwyczaj rzadkich wypadkach uciekał się do środków ostrzejszych; lubił towarzystwo, karty i kieliszek, nie czyniąc sobie najmniejszej trudności z ukrywaniem swoich upodobań. Ziernow, wysoki szczupły brunet, posiadał płaski nos, niskie czoło i kędzierżawy zarost; dosłużywszy się niedawno temu stopnia oficera, służbistą był i pedantem; przeważnie zamknięty w sobie i milczący, przykrym był w obejściu z podwładnymi; przy szorstkich i niedystyngowanych ruchach, głowę nosił dumnie wzniesioną do góry; pewność siebie i zarozumiałość cechowały go na każdym kroku. Odmienne charaktery zwierzchników odbiły się przedewszystkiem na taktyce postępowania ze Stanisławem; stosunek z pierwszym był jedyną jasną stroną w ciężkich chwilach młodego człowieka, podczas gdy drugi nie jedną z rozmysłem wyrządził mu przykrość. Obydwom zarówno wiadomem było pochodzenie, stopień wykształcenia i stanowisko

społeczne Stanisława, w różny zupełnie jednak sposób traktowali jego osobę. Zdorowienko na każdym kroku i przy każdej sposobności wyróżniał sympatycznie Bolesławskiego, ku czemu pomagał mu właściwy jego familiarny sposób obejścia się z podwładnymi. Nie przeszedł koło Stanisława, nie zamieniwszy z nim życzliwego słowa, w stosunkach pozasłużbowych traktował niemal na równej zupełnie stopie; podczas drogi niejednokrotnie zapraszał go do swojego przedziału na kieliszek wódki i obozową zakąskę, a widząc poważny zawsze nastrój Stanisława, nie bez słuszności przypisywał go tęsknocie za krajem i rodziną, dodając otuchy młodemu człowiekowi. Ziernow przedewszystkiem trzymał się od niego zdaleka, wykazując na każdym kroku, że niczem go nie wyróżnia od pozostałych żołnierzy; nie zamienił z nim nigdy słowa po za służbą, nawet w stosunkach towarzyskich, gdy czasami znaleźli się razem w gościnie u Zdorowienki, w sposób impertynencki ignorował jego osobistość. W pełnieniu służby Stanisław starał się być bez zarzutu; Ziernow najbliższy i bezpośredni jego zwierzchnik, szukał był widocznie powodu do zaczepki, tam gdzie ten nawet istnieć nie mógł; mimo to otrzymał Stanisław kilka razy najniesłuszniejsze a ostre napomnienie w takiej zupełnie formie, jakiej używał względem innych podoficerów.

Służba frontowa nie istniała zupełnie podczas drogi, nie odbywano żadnych ćwiczeń, oficerowie jechali w oddzielnych wagonach, rzadko kiedy zachodząc do wozów żołnierskich; stosunki ich z szeregowcami w tym czasie zupełnemu prawie uległy zawieszeniu.

W wagonach oficerskich, zwłaszcza z początku drogi, życie płynęło wesoło; oficerowie posiadali podostatkiem gotówki wskutek podwojonego żołdu na czas wojny; w przewidywaniu drożyzny po bufetach stacyjnych każdy zaopatrzony był w zapas napojów i zakąsek; czas

biegł przy kieliszku i kartach, a gra wykazywała nieraz dosyć poważne rezultaty. W liczbie walczących na tem polu Zdorowienko odznaczał się przedewszystkiem.

Żołnierze w każdym wagonie stanowili jakby oddzielną, zamkniętą w sobie kolonię, gdyż przechodzenie z jednego wagonu do drugiego, zwłaszcza podczas biegu pociągu, było wzbronione. Wóz kolejowy, w którym odbywał podróż Stanisław, mieścił w sobie trzydziestu sześciu szeregowców, oraz czterech podoficerów, z których jeden starszy był przedstawicielem władzy. W oddziale pozostającym pod bezpośredniem zwierzchnictwem naszego rodaka, na dwunastu żołnierzy było pięciu Wielkorusów, trzech Małorosyan, Żyd, Niemiec, Łotysz i Tatar. Mieszanina tak różnorodnych elementów nie mogła wytworzyć harmonijnej całości, tem bardziej, że w liczbie Wielkorusów trzech było z jednej gubernii; każdy zaś inny żołnierz z innego powiatu; toż samo odnosiło się i do Małorosyan. Ludzie ci, chwilowo połączeni zbiegiem okoliczności, w gruncie rzeczy uważali się za zupełnie obcych względem siebie, spoglądając jeden na drugiego z nietajoną a wzajemną niechęcią. Stanisław należał do jednostek, posiadających wrodzoną łatwość obejścia i zdolność zjednywania sobie ludzi; szczerze pragnął pozostawać w harmonii z tymi, którzy chociaż nieskończenie różnili się od niego pod każdym względem, ale zrządzeniem losu znaleźli się obecnie obok niego w tem samem położeniu. Taktyka jego w tym kierunku, daleka od narzucania się swoją osobą, polegająca właściwie na zrozumieniu charakterów i uwzględnianiu ich właściwości, wydała wcale pomyślne rezultaty względem wszystkich jego podkomendnych z wyjątkiem trzech żołnierzy, którzy na każdym kroku wykazywali mu jawną nieżyczliwość. Ostatni fakt uderzał go kilkakrotnie zanadto rażąco; badał jego przyczyny z punktu widzenia psychologicznej ciekawości i wreszcie

doszedł do przeświadczenia, że ten da się wyjaśnić jedynie rasową nienawiścią, która zwłaszcza u jednostek nieucywilizowanych tem silniejszą gra rolę. Wszelkie dalsze próby w kierunku zyskania przychylności tych ludzi okazały się daremnemi, wreszcie zniechęcony pozostawił ich w spokoju.

Tuzow, Praksin i Suchoncew, tak nazywali się ci szeregowcy, nie tylko względem Stanisława okazywali nieżyczliwość; byli oni typowymi mizantropami, nienawidzącymi wszystkich ludzi, z którymi łączyły ich jakiekolwiek stosunki. W koszarach wagonowych stronili od pozostałych żołnierzy, nawet pomiędzy nimi trzema nie istniała przyjaźń w zwykłem tego słowa znaczeniu. Nienawidzili oni szczególnie kapitana Zdorowienkę, tak jakby on był winowajcą obecnej ich doli; jemu przypisywali wszystko zło, jakie ich spotyka; wesołość i otwartość usposobienia przełożonego stanowiły istną sprzeczność z ich charakterami i to zapewne stanowiło jedną z głównych przyczyn nieżyczliwości ku niemu.

Żołnierze pomimo trudów podróży powoli zaczynali przywykać do życia wagonowego; pewna ich część ulegała chorobom, ale pozostali smakowali w bezczynności i nieustannem leżeniu, oswoiwszy się z twardością łóżek i podskakiwaniem wagonów. Pokarm do chwili obecnej nie różnił się od otrzymywanego w zwyczajnych warunkach; główna podstawa żywności żołnierskiej kasza, kapusta i pewna ilość mięsa znajdowały się w dostatecznej ilości. Dla Stanisława jednak z powodu nieprzyzwyczajenia podobne odżywianie było dość szkodliwe; zrazu nie korzystał z kuchni żołnierskiej a stołował się prywatnie, obecnie jednak musiał jadać z wspólnego kotła, gdyż w bufetach stacyjnych ceny były nadzwyczaj wygórowane.

Ciężki i nieskończenie długi pociąg, prowadzony przez dwie potężne lokomotywy, posuwał się dosyć wol-

no, bo zaledwie z szybkością dwudziestu wiorst na godzinę; drugi już jednak tydzień trwała droga i przebyto znaczny szmat ziemi, chociaż ten w porównaniu z całością oczekiwanej podróży wynosił zaledwie część nieznaczną. Przebywane z początku gubernie stepowe nosiły jeszcze ślady pracy ludzkiej. Na tle niezmierzonych okiem płaszczyzn napotykano rzadko rozsiane olbrzymie sioła, świadczące zewnętrznym wyglądem o pewnej zamożności mieszkańców. Lecz czem więcej droga kierowała się ku północo-wschodowi, przejeżdżane okolice raziły zupełną pustką, brakiem pól uprawnych oraz wsi i miast. Dworce kolejowe z otaczającymi je budynkami sprawiały wrażenie oaz wśród pustyni; na całej zaś długiej przestrzeni między jednym przystankiem a drugim oko nie napotykało siedzib ludzkich.

Wreszcie po wielu dłuższych i krótszych postojach zbliżał się pociąg ku Azyi; Stanisław, pomimo przygnębiających go myśli, śledząc z zainteresowaniem człowieka wykształconego charakter przejeżdżanych krajów, zauważył, że granica dwóch części świata, w tej mianowicie miejscowości, gdzie ją przejeżdżał, jest raczej umówną linią geograficzną, a nie wynikiem stanowczej zmiany warunków naturalnych. Olbrzymi obszar, należący jeszcze do Europy niczem nie wyróżnia się od sąsiednich okolic Azyi; równie jest pustynny i bezludny, nietknięty jeszcze ucywilizowaną ręką. Jedyny wyjątek, pierwszy tryumf rozumnej myśli ludzkiej na tych dziewiczych prawie przestrzeniach, to owa droga żelazna, którą przejeżdżał obecnie Stanisław; tylko niestety; dzisiaj ta ostatnia, zamiast być krzewicielką idei humanitarnych, roznosicielką pokoju i zgody pomiędzy ludami, pełni obowiązki służebnicy, najętej w sprawie mordu i zniszczenia.

Całe krajobrazy widziane z okien wagonu w ciągu długich dni letnich monotonnością swoją, pustką i dzi-

kością jeszcze silniej przygnębiały i tak już znękany umysł Stanisława. Bezmiar oceanu zachwyca swoją potęgą, pięknym jest i pełnym uroku poezyi nawet wówczas, gdy jak oko sięgnie, nie widać skrawka ziemi ani łodzi na falach; lecz przestrzeń lądowa bez końca, pozbawiona zmiennych widoków, śladu ludzkiego, męczy oko, nuży uwagę, nawodzi tęsknotę — a w duszy Stanisława i tak było już jej — za wiele...

VIII.

Dłuższy postój pociągu przewidywanym był w Czelabińsku i tutaj Stanisław spodziewał się zastać list od swojej ukochanej Stefci. Wkrótce po przybyciu na miejsce uzyskał pozwolenie na udanie się do miasta; w urzędzie pocztowym zastał też rzeczywiście aż dwie korespondencye pod jego adresem. Poznał list szczekarzowski po pieczęci pocztowej i najpierw do tego przystąpił; po rozerwaniu koperty w pierwszym momencie uderzył go fakt, że list ten pisanym był obcą, nieznaną mu ręką; rozpoczął niecierpliwie odczytywać początek i oto, co znalazł:

»Wielmożny Panie!

Chociaż nieznany mu osobiście, w charakterze jednak rządcy majątku WPana zmuszony jestem zawiadomić go o nieszczęściu, jakim Pan został dotknięty. Bogu wszechmocnemu podobało się powołać do Siebie żonę WPana, niemowlę płci męskiej ocalone i jest nadzieja utrzymania go przy życiu...«

Nieszczęśliwy nie czytał dalej, papier kurczowo zacisnął w ręku, nie upadł, tylko chwilę stał nieprzytomny; ocucił się na ulicy, popychany przez tłum wojskowych, zdążający do budynku pocztowego i wychodzący z niego; — doznał wtedy wrażenia człowieka zbudzonego ze

snu, potrzebującego chwili do zoryentowania się gdzie jest i co się z nim dzieje.

Nie, to nie sen; w ręku trzymał list pomięty, a w uszach mu szumiało: »Stefcia umarła«.

Dziwna rzecz, ten człowiek przed momentem jakby nieistniejący, szedł teraz pewnym krokiem, wydobył się z tłumu, kroczył szybko wprost przed siebie i myślał: »tak, umarła przy pierwszej słabości, to zdarza się wobec najstaranniejszej opieki lekarskiej; powód musiał tkwić w jej organizmie, ale tak krótko, zbyt krótko była moją żoną«.

Przystanął chwilę, a z piersi wydobył mu się jęk: »czemu ja raczej nie umarłem«. Lecz znowu za moment stracił świadomość — szedł automatycznie. Jeśli są chwile, pełne bólu i rozpaczy, w ciągu których człowiek nawet myśli zebrać nie może, to jedną z takich przeżywał właśnie Stanisław. Miał wrażenie, że nie istnieje.

Widok idącego naprzeciw oficera znowu wrócił mu przytomność, należało mu oddać należny wojskowy ukłon, co uczynił z zupełną już świadomością.

»Czy długo chorowała, czy męczyła się, o nim czy wspominała?« — pytania te nasuwały się w jego głowie z gorączkową szybkością.

Stanął, oparł się o parkan uliczny i ze zwieszoną bezwiednie głową czytał list rządcy do końca. Później rozpieczętował drugi; to adwokat z Radomia zawiadamiał go również o katastrofie. Obydwa listy były krótkie, sprawozdawcze, bez szczegółów, które tak pragnął poznać — przed chwilą. Czytanie powróciło go do świata rzeczywistego, zaczął przechodzić w nastrój uczuciowy.

»Niedobra Stefciu, odeszłaś odemnie, zostawiłaś samego, tak strasznie samego«.

Poczuł, że oczy mu wilgotnieją.

Wolnym krokiem powracał do dworca kolejowego, po za którym w pewnem jeszcze oddaleniu stał pociąg

jego na relsach zapasowych. Twarz musiał mieć bardzo zmienioną, bo gdy wszedł do wagonu i wbrew zwyczajowi usiadł na posłaniu, pomimowoli zauważył, że oczy wszystkich są na niego zwrócone. Żołnierze podchodzili wprost, stawali i patrzyli na niego; ludzie prości i otwarci, pomiędzy którymi miał większość przychylną sobie, pytali go wreszcie z odcieniem życzliwości:

— Co tobie, panie?

Stanisław milczał, prawdopodobnie nie słyszał słów do niego zwróconych, gdyż nie miał zwyczaju nieodpowiadania. Głowę miał wspartą na rękach, zatopiony w sobie, nie widział otoczenia.

— Co ja tu robię w tej chwili, myślał, przecież ja tam być powinien. Stefcia pewno już pochowana, a zresztą na co pogrzeb, co mi po widoku zmarłej, ja ją żywą mieć chciałem, jestem tam potrzebny na miejscu, bardzo potrzebnym i nic na to poradzić nie mogę. Dobrowolnie mnie nie wypuszczą; uciekać tysiące wiorst przez pustynie byłoby szaleństwem. Tu, w tym wagonie siedzieć bezczynnie i czekać chwili, w której oszaleję z bólu i rozpaczy, to straszne.

Wstał, otaczający żołnierze pomimowolnym ruchem otworzyli mu wolne przejście, znalazł się na wolnem powietrzu wobec zapadającego zmroku. Pomiędzy relsami na stacyi, wolnej w tym czasie od pociągów, snuły się setki żołnierzy, korzystające z upragnionej przechadzki po wielodniowym pobycie w wagonach; Stanisław pragnął być samotnym, a w którąkolwiek stronę skierował swe kroki, wszędzie napotykał tłumy. Twarze tych ludzi migały niewyraźnie przed jego oczami, jak gdyby widziane zdaleka, a on snuł dalej swoje myśli. Dotąd uważał się za nieszczęśliwego z powodu oderwania od pracy i oddalenia od rodziny; lecz jakiemże jest obecne jego położenie po otrzymaniu wiadomości o śmierci żony!! Tak, stało się coś tak strasznego, że

w głowie nie może mu się pomieścić. Co za szczęście byłoby umrzeć w tej chwili — i tego mu nie wolno. Wszak ma syna, o którym dotąd jeszcze nie myślał; biedne niemowlę, strasznie rozpoczyna życie — wkracza w nie po trupie — matki.

Na szerokiej przestrzeni obozu, w jaki zamienił się obszar stacyjny, rozległ się odgłos pobudek, wzywający żołnierzy do koszarowych wagonów, zanim nastąpi capstrzyk wieczorny. Stanisław podążył z innymi. Odgłos bębnów i trąbek zorzy szeroko roznosił się po stepach syberyjskich. Stanisław na flangu swojego oddziału stał na pozór spokojny. Nastąpiła chwila modlitwy — żołnierze według regulaminu pozdejmowali czapki. Wtem rozległ się doniosły, czysty głos tenorowy, słychać go było na cały obóz:

— Fornalki moje, zawracać do Szczekarzowa.

A następnie nim się spostrzeżono i zdołano zapobiedz, wystąpił z szeregów młody podoficer, podszedł do dowódzcy pułku i rzekł po polsku:

— Panie pułkowniku, do Japonii nie jadę, wracam do domu, tam jestem bardzo potrzebny.

Otoczono nieszczęśliwego, dał się uprowadzić; spokojnym był, tylko oczy miał błędne.

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

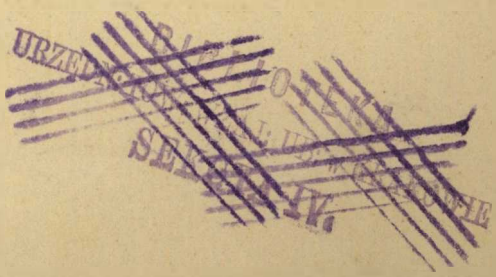

Biblioteka Uniwersytetu
M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie
B 59001

BIBLIOTEKA U. M C. S.
Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki

1000174459